Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 7 czerwca 1936 r. Nr. 23



W CIEMNYM BORZE

Zaszumiały drzewa w starym, ciemnym borze,
zaszumiały sennie słodką kołysankę,
ta zaś echem cichym obiegła polankę
i wplotła się w złote przedwieczorne zorze.

Przy dźwiękach tej cudnej, czarodziejskiej pieśni,
roznoszonej echem wpośród leśnej ciszy,
(choć nikt nic nie widzi i nikt nic nie słyszy),
piękny taniec wiedzie sto rusałek leśnych.

Na małem jeziorku zmarszczył wietrzyk wodę,
choć świerki stanęły dokoła na straży.
— Hej, jak tu miło o swem szczęściu marzyć,
gdy nic prócz szczęścia nie pragnie serce młode

Lecz ktoś się tu zbliża, słychać lekkie trzaski.
— To smukła sarenka wybiegła z gęstwiny,
i zdziwiona patrzy, jak w wód toni sinej,
gasną już ostatnie zórz wieczornych blaski.

Celina Lewandowska.

MARJAN BRONISŁAWSKI 22)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

— Zdaje mi się, panowie przysięgli, że żaden z nas nie byłby postąpił inaczej o ile by starczyło odwagi. Pierwszym jego popędem była chęć niesienia ratunku. Przypuszcza, że Winters jest tylko raniony... Uniósł głowę zamordowanego i przytem pokrwawił sobie ubranie. Unosząc bezwładną głowę ofiary morderców, musiał pokrwawić sobie ręce. Otarł je w poły ubrania. Wtedy właśnie przejeżdżali ci panowie, którzy przytrzymali go jako podejrzanego i tym sposobem dali sposobność umknąć właściwym mordercom. Ujrzeli w krzakach światło latarki, przystanęli samochodem i dali się zwieść pozorom.

— Gdyby wówczas, zamiast trzymać Stefana Lubicza, byli zaraz rozpoczęli pościg za zbrodniarzami, być może, że byliby ich schwytali, gdyż sprawcy morderstwa nie mogli jeszcze być daleko.

— Czyż sam fakt, że Stefan Lubicz, znajdując się na miejscu zbrodni wobec zamordowanego człowieka używał latarki, nie świadczy wymownie, że nie mógł być sprawcą? Bo mógł wiedzieć, że blask światła zwróci uwagę kogokolwiek przejeżdżającego czy przechodzącego drogą. Idźmy jednak dalej. Oto oskarżony przyjechał z New Yorku samochodem. Samochód ten stał na boku drogi, opodal od miejsca, gdzie dokonano ohydnej zbrodni. Zwrócony był w stronę skąd Winters szedł z „Rajskiego kącika". Toć dziecko chyba przyzna, że gdyby oskarżony zasadził się na Wintersa, byłby przedewszystkiem przygotował sobie środek ucieczki i zwrócił samochód w stronę New Yorku.

— Jak stwierdził niezbicie lekarz powiatowy, Winters poniósł śmierć od uderzeń tępym, twardym przedmiotem. Czaszka była pogruchotana ciosami, ale znaleziono też na szyi zamordowanego ślady palców, wskazujące, że mordercy zdusili ofiarę, a potem dopiero nieprzytomnego już bili jakiemś ciężkiem narzędziem. Czyż można przypuszczać, by oskarżony sam zdusił człowieka znacznie wyższego, cięższego i silniejszego od siebie, zabił go, odszedł gdzieś dalej w celu ukrycia narzędzia zbrodni, i powrócił na miejsce?

— Dowody, które pan prokurator przedstawił sądowi, stwierdzają tylko, że Winters został napadnięty na drodze, zawleczony w krzaki i okrutnie zamordowany. Ale żaden z tych dowodów nie wskazuje na Stefana Lubicza, jako na sprawcę zbrodni. Jesteśmy poprostu świadkami zwykłej omyłki niedoświadczonych władz policyjnych, które zamiast szukać prawdziwych morderców, dały się uwieść błahym i najzupełniej mylnym pozorom.

— Co zaś do „ostatniego ogniwa łańcucha", jak się wyraził pan prokurator o zeznaniach świadka Hardena, muszę przyznać, że nie rozumiem, dlaczego pan Harden tak zeznawał. Świadek mó-



Amerykańska rekordzistka w pływaniu, Harald Smith, z dumą prezentuje swoje liczne odznaczenia, zdobyte w wielu zawodach.

wi, że widział przy świetle swej latarki kieszonkowej, — tej właśnie latarki, którą tu, panowie przysięgli, widzicie, — postać człowieka w szarem ubraniu i poznał tę postać jako oskarżonego Stefana Lubicza. Pominąwszy już fakt, że ktoś, mający zamiar napaść na człowieka i obrabować go a nawet zamordować, nie narażałby się w żadnym wypadku na to, by ktokolwiek widział go w pobliżu miejsca zbrodni, pozwalam sobie zakwestjonować prawdziwość zeznań świadka Hardena. Daleki jestem od rzucania na niego podejrzenia, że umyślnie i celowo złożył fałszywe zeznania, ale przypuszczam, że pan Harden poprostu omylił się, twierdząc, że wyraźnie widział twarz oskarżonego.

— Latarka, którą pan Harden przyniósł na polecenie pana sędziego, rzuca niezbyt szeroki i krótki snop światła. Przy jej świetle możnaby poznać kogoś z bliska, stojącego tuż przed osobą, która trzyma latarkę, ale w każdym razie światło jej nie wystarczy do rozpoznania twarzy człowieka na odległość kilkunastu kroków.

— Nie wątpię, że panowie przysięgli uznacie słuszność moich wywodów i wydacie werdykt uniewinniający i ścierający plamę, jaka padła na nieposzlakowane dotąd nazwisko oskarżonego. Całem swem dotychczasowem życiem dał on wymowne świadectwo, że jest człowiekiem uczciwym, dobrym synem i pożytecznym obywatelem kraju. Proszę o uwolnienie Stefana Lubicza od oskarżenia.

Obrońca skłonił się i wrócił na swoje miejsce za stołem, gdzie siedział Stefan. Na sali powstał szmer, który sędzia wkrótce uciszył, zwracając się do przysięgłych:

— Słyszeliście panowie zeznania świadków, widzieliście przedstawione dowody rzeczowe. Z mów pana prokuratora i obrońcy poznaliście całą sprawę. Wzywam was teraz do spełnienia waszego obywatelskiego obowiązku. Idźcie na naradę i wydajcie werdykt sprawiedliwy, kierując się tylko sumieniem i sprawiedliwością.

Przysięgli wstali z miejsc i wyszli bocznemi drzwiami do sali obrad, sędzia zaś ogłosił, że odracza rozprawę do czasu ogłoszenia werdyktu przysięgłych.

Po upływie dwóch godzin niespokojnego oczekiwania ozwał się dzwonek, oznajmiający, że narada przysięgłych skończona. Sędzia wszedł do sali i zajął miejsce na swym fotelu; publiczność usadowiła się w krzesłach i z zapartym oddechem oczekiwała wyroku dwunastu przedstawicieli ludu.

Otworzyły się boczne drzwi i wśród głębokiej ciszy przysięgli weszli na salę. Trudno było wyczytać z ich twarzy, jaki był wynik obrad. Zajęli poważnie miejsca i chwilę trwało milczenie, które przerwał głos sędziego:

— Czy powzięliście panowie jednogłośną decyzję w sprawie, którą słyszeliście?

— Tak — odrzekł przewodniczący przysięgłych, wstając.

— W takim razie proszę o ogłoszenie werdyktu.

Wszyscy przysięgli podnieśli się z miejsc jak jeden mąż, a przewodniczący rozwinął trzymany w ręku papier i przeczytał równym, uroczystym głosem:

— My członkowie ławy przysięgłych, wezwani do wydania werdyktu w sprawie Stefana Lubicza, oskarżonego o zamordowanie i obrabowanie Piotra Wintersa, po rozważeniu wszystkich okoliczności i przedstawionych dowodów, kierując się tylko wyłącznie sumieniem i prawością obywatelską, uznaliśmy, że Stefan Lubicz nie jest winien zarzucanej mu zbrodni.

— Dziękuję panom — rzekł sędzia, pochylając głowę. Chwilę pisał coś na leżących przed nim aktach, poczem wstał i dał znak, że wygłosi wyrok.

Wszyscy obecni na sali wstali z miejsc. Blada dotychczas twarz Stefana rozjaśniła się wyrazem ulgi. Matka jego, oparta na ramieniu Haneczki, z trudnością wstrzymywała łzy, toczące się po jej policzkach. Sogan uśmiechał się szeroko i serdecznie. Nawet na twarzach zebranej publiczności malował się żywy wyraz zadowolenia i życzliwości dla podsądnego.

Nastąpiła chwila ciszy, wśród której padły słowa sędziego:

— Na podstawie werdyktu przysięgłych, sąd uwalnia oskarżonego. Panie Lubicz, od tej chwili jest pan wolny od oskarżenia. Kaucja, jaka została złożona, może być natychmiast odebrana. Ogłaszam rozprawę przeciw Stefanowi Lubiczowi za skończoną.

Wygłosiwszy wyrok, sędzia wyszedł z sali. Publiczność tłumnie opuszczała swe miejsca, kierując się ku drzwiom. Po upływie kilkunastu sekund na sali pozostał tylko Stefan, matka jego, Haneczka, Sogan, szeryf i adwokat. Harden pierwszy wyniósł się chyłkiem, ścigany niechętnemi spojrzeniami starego policjanta.

— No, panie Lubicz, skończyło się dobrze — rzekł obrońca, ściskając dłoń

...efana. — Zresztą inaczej skończyć się ...e mogło — dodał śmiejąc się życzli...ie. — A teraz, gdy już po wszystkiem, ...am panu zakomunikować przyjemną ...iadomość, — panu i tej paniennce, któ... właśnie idzie do nas z pańską mat...ą... Mam dla pana polecenie od pana ...eele, który był na rozprawie przez ...ły wczorajszy dzień i przysłuchiwał ...ę zeznaniom świadków. Miał zamiar ...stać aż do końca, ale wezwany do ...ew Yorku w ważnej sprawie, musiał ...atychmiast wyjechać i mnie powierzył ...wiadomienie pana, że te pięćdziesiąt ...sięcy dolarów kaucji nie mają być ...mu zwracane, tylko przechodzą w de...ozyt, jako posag pańskiej narzeczonej.

...Słowa te dosłyszał Sogan, który już ...ał przy Stefanie, powstrzymując cisną...ć się do niego Lubiczową i Haneczkę.

— Brawo! — zawołał, chwytając ad...okata za rękę. — Znakomicie się pan ...isał, panie mecenasie. Nietylko, że ...ielnie pan obronił mego młodego ...zyjaciela, ale jeszcze w nagrodę za ...go cierpienie i niepokój, przygotował ...n dla niego pyszny środek na po...echę.

— Nie moja w tem zasługa — odparł ...romnie obrońca. — Sprawa była ła...a, a co do tych pieniędzy, to pan, pa...e Sogan, najlepiej chyba wie, dlaczego ...eele ofiarował je pannie Burskiej.

...Pożegnał się przyjaźnie z wszystkimi ...opuścił salę.

...Po odejściu adwokata Sogan zwrócił ... do Lubiczowej i Haneczki i zawo...:

— No, macie go teraz, tylko mi go ...zaduście. A nie cackajcie się długo, ...trzeba i nam wyjść stąd i jechać do ...mu. Ale zastrzegam sobie, że dzisiej...y wieczór do mnie należy. Pójdziemy ...zem na kolację, a potem do teatru, ...by godnie uczcić dzisiejszą uroczy...ość. A jeść mi się chce jak wilkowi.

...W tej chwili podszedł do Sogana je...n z urzędników sądowych i spytał go, ... zechce zaraz odebrać pięćdziesiąt ...ięcy dolarów, złożonych jako kaucja.

— Aha... — zawołał policjant — pra...a! Byłbym zapomniał o tej drob...stce! Toć to przecież własność Ha...czki... podarek ślubny dla młodej ...ry!

— Jakto? — spytała Haneczka. — ...ądże ja przychodzę do takiego bo...twa?

— Hm... nie potrzebujesz głowy sobie ...szyć o to. Jeden z moich przyjaciół, ...ljonerów, — bo musicie państwo ...edzieć, że stary Sogan obraca się ...ważnie wśród książąt przemysłu i ...t za pan brat z miljonerami, — prze...aczył kaucję, którą złożył za Stefana, ...twój posag. Rozumiesz teraz? Przy...szczam, że nie masz powodu do nie...owolenia, no i ty, Stef, także rad ...ba jesteś, że twoja przyszła żona ...esie ci tyle gotowizny... Tak, synu, ... deszczu — pogoda. No, cieszcie się, ...a tymczasem pójdę odebrać te pie...dze. Zaczekajcie na mnie przed gma...m sądu.

...Poszedł do kasy po odbiór kaucji, ...Stefan z matką i Haneczką wyszli z ...łynku rozradowani, weseli i szczę...wi.



W jednym z szkockich garnizonów wojskowych, urządzili sobie żołnierze zabawę, w czasie której odtańczyli pełne temperamentu tańce ludowe.

Gdy Sogan wrócił z pieniędzmi, Stefan przechadzał się pod ramię z Haneczką, żywo coś rozprawiając i co chwila pochylając się do jej ucha. Matka stała opodal i rozmiłowanym wzrokiem wodziła za młodą parą.

— Otóż tak — zawołał Sogan. — Już ich nic nie obchodzi, ani stara matka, ani ja, ani nawet ta koperta, którą mam przy sobie.

— A pan to zawsze musi gderać — odparła Haneczka wesoło. — Rozmawiamy sobie...

— Wiadomo, że „sobie“ — śmiał się Sogan. — No, teraz jazda do New Yorku! Ja funduję taksówkę, bo któżby jeździł tramwajem przy takiej uroczystości?

W drodze do miasta, rozmawiając o rozprawie, Sogan nagle spytał Stefana:

— Wiedziałem, że tak czy owak zostaniesz uniewinniony, bo adwokat zaręczał, że przy tych dowodach, jakie prokurator zgromadził, żaden sąd nie mógłby cię skarać. Ale jednak zaniepokoiłem się, kiedy Harden mówił, że widział cię, jak się skradałeś za Wintersem. Łgał szelma bezczelnie, ale dlaczego on to mówił?

Twarz Stefana spoważniała.

— Nic innego, — odrzekł poważnie — tylko Harden chciał, żebym został skazany. Nienawidzi mnie i, tak mi się przynajmniej zdaje, czegoś się obawia z mojej strony.

Sogan zamyślił się.

— Masz rację — odpowiedział. — Coś mi jednak mówi, że kiedyś wyjaśni się, kto zamordował Wintersa, a wtedy będzie można zrozumieć, dlaczego Harden pragnął siebie pogrążyć. W każdym razie łotr nad łotrami i szubrawiec z pod ciemnej gwiazdy. Miejmy nadzieję, że prędzej czy później spotka go zasłużony koniec.

Tak się skończyła sprawa zamordowania Winntersa.

W kilka dni po rozprawie Stefan otrzymał posadę reportera w największym dzienniku New Yorku i z zamiłowaniem oddał się ulubionej pracy dziennikarskiej. Z dnia na dzień oczekiwał przyjazdu Burskiego, który według jego obliczeń powinien niedługo nastąpić. Haneczka pozostawała dalej w klasztorze, ucząc się chętnie i kształcąc swój podatny umysł, a w chwilach wolnych od zajęć naukowych snuła złote pasma planów przyszłego życia z ukochanym Stefkiem, którego widywała tylko raz na tydzień.

Sogan po raz drugi w życiu poszedł w odwiedziny do pałacu Steele'go. Gdy zaczął rozwodzić się w podziękowaniach za wspaniały dar dla Haneczki, stary miljoner machnął ręką i śmiejąc się, rzekł:

— Pan, stary niedźwiedziu irlandzki, nie byłbyś przyjął nic ode mnie. Postanowiłem więc rozporządzić temi pieniędzmi w sposób, żeby panu sprawić przyjemność. Przedewszystkiem gruntownie kazałem zbadać mojemu adwokatowi sprawę Lubicza i dowiedzieć się, czy pański protegowany jest rzeczywiście uczciwym człowiekiem. Dowiedziałem się także wszystkiego o tej dziewczynie, a wiedząc, że pan jest prawdziwym przyjacielem rodziny Lubiczów, a przytem lubi pan pannę Burską, postąpiłem, jak uważałem najlepiej i uważam sprawę za skończoną. Przestańmy o tem mówić. Chcę tylko jeszcze dodać, że gdyby pan zechciał wystąpić ze służby policyjnej, zrobiłby mi pan wielką przysługę, obejmując posadę zarządcy w jednej z naszych fabryk. Co pan o tem myśli, panie Sogan?

— Myślę, panie Steele, że pan nie potrzebuje żadnego zarządcy, tylko chce mi pan powiedzieć iż w razie, gdyby mnie wyrzucili z policji, znajdę u pana posadę i kawałek chleba. Bardzo panu dziękuję, panie Steele, i jeżeliby na to przyszło, nie omieszkam skorzystać z pańskiej dobroci. Tymczasem jednak pozostanę na swojem stanowisku, bo przyzna pan, że jeżeli człowiek spędził kil-

kadziesiąt lat w tej służbie, nie łatwo mu oderwać się od niej.

Ojciec Haneczki

Na pokładzie parowca, zdążającego z portów Ameryki Południowej do New Yorku, przechadzał się samotny pasażer, pogrążony w głębokiej zadumie. Był to człowiek nie stary jeszcze, choć głowa jego całkowicie pokryta była siwizną, a zmęczone rysy i liczne zmarszczki czyniły go znacznie starszym niż był w rzeczywistości.

Pasażer ten zapisany był w księdze okrętowej pod nazwiskiem Władysława Burskiego, powracającego z Moutanji do Stanów Zjednoczonych. Ubrany dostatnio, z twarzą ogorzałą i rękami mocno spracowanemi, sprawiał wrażenie zamożnego kolonisty, który spędziwszy wiele lat na południowo-amerykańskiej plantacji czy „hazendzie", wracał do cywilizacji, aby tam odpocząć po trudach i niewygodach życia osadniczego.

Człowiek ten był dziwnie małomówny i milczący. Unikał rozmów z towarzyszami podróży, którzy gwarnie i hałaśliwie spędzali czas na okręcie; nie brał udziału w zabawach towarzyskich ani w żadnych grach, do których starano się go wciągnąć.

Dnie całe spędzał, przechadzając się po pokładzie, a w chwilach, gdy nikt go nie obserwował, ukradkiem wyjmował ze starego, pożółkłego portfelu wyblakłą fotografję młodej kobiety i jasnowłosego dziecka i z wyrazem bezmiernej miłości wpatrywał się w nie. Wówczas surowa, poważna jego twarz przybierała wyraz słodyczy i łagodności, a przygasłe niebieskie oczy nabierały nowego blasku i życia.

Władysław Burski powracał po szesnastu latach wygnania do jedynej swej córki, którą zostawił, uciekając z New Yorku, na opiece człowieka, który mienił się jego przyjacielem. Teraz, po otrzymaniu listu od Wintersa, przekonał się, że ów przyjaciel podstępem zmusił go do ucieczki w dalekie kraje i rozłączył z jedynem dzieckiem dla zyskania marnej garści pieniędzy. I temu właśnie człowiekowi powierzył córkę swoją, którą nad życie kochał.

List Wintersa wyjaśnił mu wszystko. Natychmiast po jego otrzymaniu rozpoczął przygotowania do podróży i oto teraz jedzie do New Yorku odebrać Haneczkę z rąk Hardena i zażądać rachunku od fałszywego przyjaciela. Nie czytując gazet, nie wiedział, że Winters, posłany przez niego do Haneczki, znalazł okrutną śmierć z rąk zbrodniarzy.

W przededniu lądowania Burski wydobył z walizki list Wintersa i jeszcze raz uważnie odczytał.

Winters pisał:

Przyjeżdżaj przyjacielu i nie obawiaj się niczego. Bez pomocy adwokata dowiedziałem się, że cała ta historja o zabójstwie była zmyślona przez Hardena, który na tem grubo skorzystał. Ów Gerber, którego to rzekomo zastrzeliłeś, żyje i widziałem się z nim. W aktach policyjnych nigdzie niema wzmianki o tej sprawie; nigdy ciebie policja nie poszukiwała. Córkę twoją



Niecodzienny obrazek z otwarcia egipskiego parlamentu. W otwarciu tem brały również udział żony ministrów w tradycyjnych zasłonach na twarzy.

widziałem. Wyrosła na śliczną dziewczynę i znajduje się jeszcze u Hardenów, którzy prowadzą wielką karczmę podmiejską. Źli to ludzie i podstępni. Zresztą wszystkiego się dowiesz jak się spotkasz ze mną w New Yorku. Tymczasowo mieszkam w hotelu „Commodore", ale mam zamiar przenieść się do prywatnego mieszkania. Adres mój znajdziesz na poczcie. Natychmiast po przyjeździe do New Yorku idź na główną pocztę i dowiedz się o list dla ciebie, zaadresowany: Walter Burski, General Delivery, New York. Skoro tylko dostaniesz mój list z adresem, przyjeżdżaj do mnie. Przesyłki, którą mi dałeś dla Twej córki, jeszcze nie doręczyłem, gdyż zachodzi obawa, że Harden wyłudzi od niej te kamienie, albo poprostu odbierze i zachowa dla siebie. Jak przyjedziesz, sam będziesz wiedział jak postąpić...

Twój przyjaciel
Piotr Winters."

Burski westchnął głęboko, list złożył starannie i schował do portfelu. Długo stał oparty o balustradę statku, i patrzył w siną dal, w stronę dokąd okręt zmierza. Zdawało mu się, że parowiec stoi w miejscu i nie posuwa się naprzód, tak bardzo mu się spieszyło do ujrzenia Wintersa i Haneczki.

Ostatnią noc na okręcie spędził bezsennie, na rozmyślaniu. W duszy jego zrywała się burza przeciw temu, który pod pokrywką przyjaźni, niby ratując go, wysłał na tułaczkę i uczynił na długie lata odludkiem. Ale w dobrem sercu wygnańca nie płonął jeszcze ogień zemsty nad Hardenem. Myśl o tem, że ten właśnie Harden, przyczyna jego nieszczęścia, przez kilkanaście lat opiekował się Haneczką i wychował ją, łagodziła pragnienia odwetu.

Wczesnym rankiem Burski opakował swe bagaże, składające się z kilku waliz i mocnego, okutego kuferka, przybrał się w świeże odzienie i już na dwie godziny przed zawinięciem okrętu do portu stał na pokładzie, gotów do wyjścia na ląd.

Nie długo trwały formalności, towarzyszące zwykle lądowaniu pasażerów na brzegu Stanów Zjednoczonych. Po okazaniu papierów, świadczących, że Burski był obywatelem Stanów, otrzymał przepustkę do wyjścia i jeden z pierwszych zszedł po mostku na stały ląd.

Dziwne uczucie ogarnęło go na myśl, że znajduje się znów w miejscu, skąd przed kilkunastu laty, pod osłoną nocy zakradł się na pokład statku i ukryty między pakami, rozpoczął podróż do Ameryki Południowej. Teraz czuł się pewnym siebie i nie potrzebował kryć się przed okiem policji.

Wyszedł przed zabudowanie przystani i zabrawszy wszystkie swoje rzeczy, kazał się wieźć do miasta, gdzie wysiadł przed znanym sobie z dawnych czasów małym hotelem. Wynająwszy skromny pokoik, złożył rzeczy, a sam udał się na pocztę.

Z bijącem sercem przystąpił do okienka, nad którem widniał napis: „General Delivery AF."

— Czy są jakie listy dla Waltera Burskiego? — spytał urzędnika, pełniącego służbę w tym oddziale poczty.

— Burski? — powtórzył urzędnik i szybko przejrzał zawartości przegrody, oznaczonej literą B. — Nie, panie. Niema nic.

Burski zadrżał.

— Jakto? — przemknęło mu przez głowę. — Niema listu od Wintersa? Zwrócił się ponownie do urzędnika.

— Niech pan jeszcze raz popatrzy — rzekł proszącym tonem. — List miał być napewno. Może w innej przegrodzie...

— Niema — odparł opryskliwie urzędnik. — Proszę odejść od okienka i zrobić miejsce dla innych!

— Coś się stało — rozmyślał Burski, wychodząc z gmachu poczty. — Albo list zaginął, albo też Winters nie

napisał... Ale dlaczegożby mnie zwodził?

Po chwilowym namyśle postanowił udać się do hotelu „Commodore" i dowiedzieć się, czy Winters tam jeszcze mieszka.

— A jeżeli wyprowadził się, napewno musiał zostawić swój adres. Przecież spodziewał się mojego przyjazdu... — myślał, jadąc tramwajem do hotelu.

Po upływie godziny stanął przed biurkiem hotelowego urzędnika.

— Chciałbym widzieć się z panem Wintersem — rzekł onieśmielony wspaniałem urządzeniem poczekalni hotelowej. — Przypuszczam, że mieszka w tym hotelu.

Hotelarz spojrzał badawczo na pytającego.

— Z kim pan pragnie się widzieć? — zapytał. — Nie dosłyszałem nazwiska.

— Winters... Piotr Winters... Pisał do mnie kilka miesięcy temu, że mieszka w hotelu „Commodore". Mam nawet jego list pisany na hotelowym papierze...

— Piotr Winters? — powtórzył urzędnik. — Jakto, to pan nie wie... nie słyszał pan, że człowiek, o którego pan pyta, został zamordowany!

— Zamordowany?! — zawołał Burski. — Winters zamordowany!

— Tak, panie. Głośna to była sprawa w swoim czasie i dziwię się, że nie czytał pan o niej w gazetach. Toć wszystkie nasze pisma pełne były opisów tego morderstwa... Przypominam sobie, że mordercom chodziło o jakieś drogie kamienie, które ów Winters miał przy sobie...

Burski przeciągnął ręką po czole, na którem perliły się gęste krople potu.

— Nie czytałem, bo w kraju, gdzie przebywałem od kilkunastu lat, nie czytują ludzie gazet. Przyjechałem dziś prosto z Peru...

— Czy pan jest może krewnym zamordowanego? Wprawdzie policja aresztowała jakiegoś reportera, podejrzanego o tę zbrodnię, ale niedawno odbyła się rozprawa przeciw niemu i został uniewinniony.

— Nie, panie. Winters był dla mnie więcej niż krewnym, bo prawdziwym i serdecznym przyjacielem. Na jego to wezwanie przyjechałem do New Yorku.

— Pamiętam go doskonale — mówił hotelarz. — Mieszkał u nas kilkanaście dni. Był to człowiek spokojny, wysokiego wzrostu i prawie atletycznej budowy ciała.

— Czy wykryto sprawcę morderstwa? — pytał Burski niespokojnie.

— Nie — brzmiała odpowiedź. —

— Chciałbym koniecznie poznać wszystkie szczegóły tej sprawy — mówił dalej Burski. — Czy może mi pan powiedzieć, gdzie mógłbym zasięgnąć informacyj.

— Nic łatwiejszego. Niech pan idzie do pierwszej lepszej redakcji i poprosi o numery pisma, zawierające opis tej sprawy. Zresztą może pan dowiedzieć się wszystkiego w sądzie, gdzie odbywała się rozprawa przeciw owemu reporterowi, podejrzanemu o zamordowanie Wintersa.

Burski wyszedł z hotelu oszołomiony straszną a niespodziewaną wieścią. Myśl, że dając Wintersowi kamienie dla Haneczki, stał się może mimowolną przyczyną śmierci przyjaciela, nie dawała mu spokoju. Przez kilka godzin błądził po ulicach miasta, aż zmęczony i wyczerpany chodzeniem i przebytemi wzruszeniami, wsiadł do doróżki samochodowej i kazał się zawieść do redakcji największego dziennika.

Zapytany przez portjera, czegoby sobie życzył, odpowiedział, że chciałby zasięgnąć informacyj o pewnej sprawie, która przed kilkoma miesiącami była szeroko opisywana w dzienniku. Portjer skierował go do biura dyżurnego reportera, który pełnił służbę w miejskim dziale pisma.

Wszedłszy do wskazanego pokoju, Burski znalazł się wobec młodego człowieka, piszącego pilnie na maszynie.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał uprzejmie reporter, wstając od biurka.

— Pragnąłbym dowiedzieć się szczegółów morderstwa, jakie zostało popełnione kilka miesięcy temu na osobie Piotra Wintersa. Przypuszczając, że najlepszem źródłem informacji będzie redakcja miejscowego dziennika, przyszedłem...

Na dźwięk nazwiska Wintersa młody człowiek drgnął i począł patrzeć badawczo na Burskiego.

— Z kim mam przyjemność? — spytał podchodząc bliżej.

— Nazywam się Władysław Burski. Zamordowany był moim przyjacielem i dziś dopiero dowiedziałem się, że niema go na świecie.

— Pan Burski!... Co za traf, że właśnie do mnie pan przyszedł! Pozwoli pan, że się przedstawię... Stefan Lubicz...

Burski uścisnął podaną mu dłoń, dziwiąc się serdecznemu tonowi w głosie reportera. Nazwisko Lubicz nic mu nie mówiło ponad przypuszczenie, że ma do czynienia z Polakiem.

— Sądząc z brzmienia pańskiego nazwiska — odpowiedział — przypuszczam, że pochodzi pan z narodowości, do której ja należę. Wszak prawda?

— Tak, panie Burski. Jestem Polakiem... A choć pierwszy raz w życiu widzę pana, znam pana oddawna...

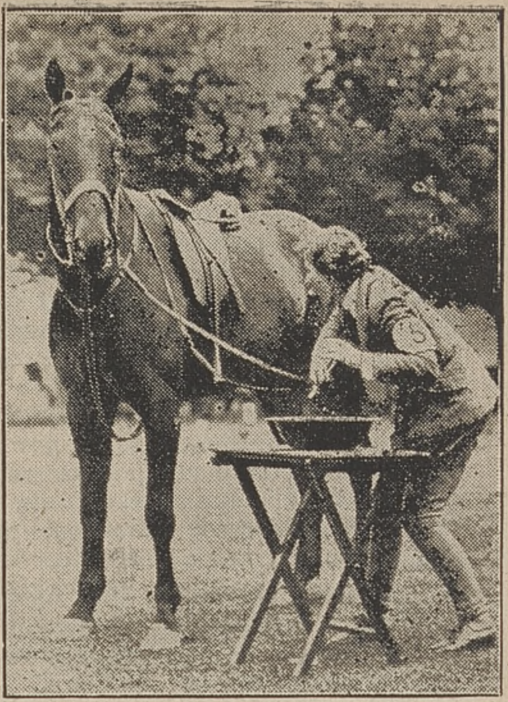
Na twarzy Burskiego odbił się wyraz zdziwienia.

— Nie rozumiem...

— Panie Burski... Znałem pana Wintersa i przez te kilka dni, w których go poznałem, zdobyłem sobie zaufanie pańskiego przyjaciela. Więcej nawet niż zaufanie, bo jego życzliwość i, śmiem powiedzieć, przyjaźń...

— Znał pan Wintersa? Niechże mi pan powie, na Boga, jak się stało, że ten zacny człowiek został zamordowany?

— Powiem panu wszystko, panie Burski — odrzekł Stefan. — Za kilka minut kończy się moja służba i będę wolny. Wyjdziemy razem i dowie się pan wszystkiego. Niechże pa spocznie, zanim przyjdzie mój zastępca. Proszę... — dodał, wskazując krzesło w głębi pokoju.



Jeszcze mała chwilka toalety i... urocza amazonka wyruszy na swym rumaku w słoneczne pola.

Burski usiadł i podparłszy głowę rękami zamyślił się głęboko. Stefan tymczasem porządkował papiery na biurku, przygotowując je do oddania zastępcy. Przez głowę przelatywały mu myśli jak błyskawice.

— Ojciec Haneczki... ojciec dziewczyny mojej jedynej — myślał. — Czy on też zechce oddać mi swe dziecko? Czy nie zabierze jej i nie wywiezie gdzie na kraj świata? Taki surowy i poważny... Ojciec Haneczki...

Niedługo nadszedł zastępca Lubicza i objął dyżur.

— Pójdziemy, panie Burski — rzekł Stefan, budząc Burskiego z zadumy.

Wyszli razem.

— Powiedziałem panu, że znałem Piotra Wintersa. Tak panie, znałem go i oprócz mnie on nie miał tu innych znajomych. Gdyby pan przebywał w Stanach Zjednoczonych, znałby pan moje nazwisko z gazet...

Burski spojrzał na mówiącego z wyrazem ponownego zdziwienia.

— Bo ja byłem tym, który pierwszy znalazł zwłoki zamordowanego i mnie posądzono o to morderstwo... Mnie, — dodał z goryczą w głosie — który szanowałem i ceniłem go, jako szlachetnego i dobrego człowieka, który byłem jedynie jego przyjacielem w tem zbiorniku miljonów ludzi.

— Jak się stało, że pan poznał Wintersa? — przerwał mu Burski. — On tak krótko był w New Yorku...

— Odszukał mnie z polecenia Han... chciałem powiedzieć córki pańskiej, panny Hanki...

— Jakto? To pan zna moją córkę?

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

MARJA REUTT autorka „Zemsty Cyganki“

Co zazdrość może

ROMANS WSPÓŁCZESNY

10)

Henryk stał dziwnie niespokojny. Ta atmosfera niezdrowego podniecania wpływała nań fatalnie. Widać było, że staje się coraz bardziej zdenerwowany. Oczy jego zmieniły się. Począł spoglądać na kobiety takiem samem zuchwałem i wyzywającem spojrzeniem, jak inni mężczyźni. Przestał krępować się obecnością Wandy.

Wanda zaś czuła się od początku bardzo źle w tej sztucznej atmosferze, gdzie powietrze było naładowane namiętnościami podrażnionych południowców. Teraz w dodatku poczuła się wprost obrażoną w swej kobiecości, nieważona jako narzeczona.

— — — — — — — —

„Artystki“ kończyły swe nieskromne popisy taneczne i nagradzane burzliwemi oklaskami schodziły, dumne ze swych wdzięków, z estrady. Potem przechodziły między stolikami.

Mężczyźni podnieconym wzrokiem przyglądali się zbliska tancerkom, które przymilały się do gości, odchodząc powoli ku swym garderobom.

Największe powodzenie miała pewna pięknooka Kreolka, która kilka razy musiała powtarzać swój pełen ognia taniec.

Wanda zauważyła, że narzeczony jej przez cały czas popisów Kreolki nie odwracał od niej wzroku. Przywarł oczyma do jej ciemnego ciała, przechylającego się w rytmicznych ruchach tańca.

Gdy wreszcie Kreolka po kilku bisowaniach zeszła ostatecznie z estrady, jakby naumyślnie obrała sobie dłuższą drogę i przeszła koło stolika, przy którym siedział Henryk.

Narzeczony Wandy nie ukrywał już swego zachwytu dla tancerki.

Kreolka, przechodząc koło Henryka, niby przez nieuwagę silnie otarła się o niego, poczem zatrzymała się i rzuciła mu zachęcająco-kuszące spojrzenie, szepcąc cicho:

— Przepraszam pana...

Henryk pochylił się naprzód ku niej. Twarz jego pokryła się rumieńcem...

— Chodźmy już — zaproponowała Wanda.

Wyszli. Henryk odprowadził ją do domu. Szedł przez całą drogę zamyślony, nie odzywając się zupełnie do swej narzeczonej.

Tancerka z kabaretu rzuciła nań jakiś urok...

POWRÓT NAMIĘTNOŚCI

Henryk, który po przeprowadzeniu kuracji zmienił się tak bardzo na korzyść — od czasu owego wieczoru, spędzonego w kabarecie, stał się znowu dawnym chorobliwie niespokojnym człowiekiem.

Znikał z domu. Nie było go widać całemi dniami. Wracał dopiero nad ranem. Stał się opryskliwym dla rodziny. Zobojętniał zupełnie wobec Wandy.

Wiedziała dobrze, czemu należy przypisywać tę nową zmianę.

Co robić? Czyż było w jej mocy po raz drugi uratować Henryka — tym razem z pod wpływu lekkomyślnej Kreolki...

Lecz jeśli go teraz porzuci, to w takim razie ta pierwsza ofiara stanie się bezużyteczną — rodzice nie odzyskają syna... Henryk pogrąży się w falach zepsucia — stoczy się w złem towarzystwie na dno.

Wiele nocy bezsennych spędziła Wanda na rozmyślaniach nad tem, jak spełnić obowiązek ratowania Henryka.

Henryk unikał odtąd towarzystwa Wandy — nie patrzał w jej oczy — mając jakby nieczyste wobec niej sumienie. Mijały dnie całe, a Wanda nie widywała się ze swoim narzeczonym.

Przebywała prawie wyłącznie w towarzystwie Anny, siostry Henryka. Chodziły razem na dalsze spacery, zwiedzały Rio de Janeiro. Stały się nieodstępnemi wprost towarzyszkami.

Wanda szukała ukojenia w dalszych przechadzkach — do wspaniałych parków o bujnej, podzwrotnikowej roślinności. Polubiła długą aleję, wzdłuż której ciągnęły się dwa zda się niekończące szeregi wysokich, smukłych palm.

ZDRADA I ZERWANIE

Pewnego dnia, w czasie jednej z takich przechadzek — przesunął się koło nich elegancki samochód. Wanda poznała mężczyznę, który siedział w samochodzie czule pochylony ku ognistej Kreolce.

Lekko przycisnęła do siebie ramię Anny, i spojrzała na nią! Wzrok Anny dał jej do zrozumienia, że ona poznała również owego młodego człowieka w samochodzie.

Nie porozumiewając się zupełnie — zawróciły do domu. Wanda szła zamyślona, rozważając nad tem, jak ma postąpić wobec zniewagi, jaką wyrządził jej Henryk — bo on to właśnie jechał owym samochodem w towarzystwie tancerki z kabaretu.

Anna nie próbowała nawet usprawiedliwiać brata. Było jej niezmiernie przykro, że lekkomyślny Henryk w tak brutalny sposób obraził swą narzeczoną, która była gotową do najwyższego poświęcenia, byle ratować nieszczęśliwego nałogowca. W ten sposób wywdzięczył się Wandzie za jej dobroć. Niewdzięczność Henryka sprawiała Annie przykrość tem większą, iż szczerze polubił Wandę, uważając ją już za swą przyszłą bratową. Poznała też dobrze Wandę, i wiedziała, że po tem co zaszło — nic jej już nie zdoła nakłonić do małżeństwa z Henrykiem.

A ten człowiek o tak słabym charakterze tak bardzo potrzebował podpory duchowej! Zrównoważona, o wysokiej moralności kobieta, jaką była Wanda, stanowiłaby dla niego idealną wprost żonę. Tymczasem Henryk porzuca ją, aby nawiązać skandaliczny romans z jakąś tancerką, który sprowadzi go niechybnie z drogi poprawy, na jaką już wszedł dzięki dobroczynnemu wpływowi Wandy...

Szły obie przez ruchliwe ulice stolicy Brazylji, rojne w tej porze nadwieczornej tłumem zadowolonym i rozbawionym.

Gdy zbliżyły się do dzielnicy portowej, Wanda tęsknym wzrokiem powiodła po zlewającym się z niebem bezmiarze oceanu — a zatrzymując spojrzenie na okręcie, z którego kominów wybuchały czarne kłęby dymów, rzekła krótko:

— Jutro wracam... do Polski...

Anna przeraziła się tą nagłą decyzją Wandy, której jednak zresztą spodziewała się, choć nie tak odrazu. Miała nadzieję, że przyjaciółka jej pozostanie jeszcze przez pewien czas w Rio de Janeiro, i że może uda się nakłonić Henryka do zerwania z tancerką i błagania Wandy o przebaczenie.

Żal jej było bardzo rodziców, którzy tak bardzo polubili Wandę i przywiązywali tak wielkie nadzieje do jej małżeństwa z Henrykiem.

— Więc to już nieodwołalnie, Wando — może jeszcze będzie można to naprawić?... — próbowała nieśmiało nakłonić Wandę do pozostania.

Wandę jednak opanowało jakieś dziwne a nieprzeparte dążenie. Musi opuścić Brazylję. Nie wytrzyma tu ani dnia dłużej. Powraca do Polski.

Lecz — do Polski?... Do kogo?... Czy do tych ludzi, którzy znieważyli ją swą niewiarą, czy podłością... A pozatem przecież tam na nią nikt nie czeka... Przecież nawet na żadnym cmentarzu polskim nie znajdzie grobu Tomasza...

Musi jednak wrócić. Jakiś głos tajemny nakazuje jej wyjazd.

A może?... Boi się wprost sformułować jasno swe nadzieje, aby brutalna rzeczywistość nie wykazała jej całych ich niedorzeczności... — A może... może tam właśnie, za oceanem, dowie się czegoś o Toma-

szu... Przecież tam mieszkają jego rodzice... Wiedzą chyba coś bliższego o swym synu...

Nie, to już nie ulega wątpliwości, że obowiązkiem jej jest wracać do kraju.

— A nie żal będzie ci nas opuścić? — rzuciła Anna ostatni, jak się jej zdawało argument.

— Tak — ale, widzisz, coś mi mówi, że muszę wracać do kraju. Nie wolno mi tu już dłużej pozostać.

Ton Wandy był tak stanowczy, tak zdecydowany, że Anna nie próbowała już protestować.

Gdy powróciły do domu — Anna oznajmiła rodzicom o nieodwołalnej decyzji wyjazdu Wandy... Zasmucili się rodzice Henryka tą wiadomością.

— Pokochaliśmy cię, jak rodzoną córkę — mówiła ze łzami matka Henryka — a naraziliśmy cię na tyle przykrości.

Ucałowała serdecznie Wandę, wzruszoną również do łez tą sceną pożegnania.

— Mamy wobec ciebie wielki dług wdzięczności — mówił przy pożegnaniu ojciec. — Popełniliśmy wielki błąd, ale może nas to rozgrzesza, że chcieliśmy uleczyć naszego syna, którego kochaliśmy nad życie... — Trudno — stało się inaczej. Nie miej do nas żalu, żeśmy chcieli wydać cię zamąż za człowieka chorego. Nad nim litować się tylko trzeba.

Z Henrykiem nie zobaczyła się już przed wyjazdem. Otrzymała od ojca swego narzeczonego pożyczkę, dzięki której mogła powrócić do kraju. Prosił ją usilnie, aby pożyczyła sobie te pieniądze — wszak oni to mają raczej wobec niej dług wdzięczności, a nawet — zgodnie z amerykańskim obyczajem — ścisły obowiązek odszkodowania. Ściągnęli ją wszak do Brazylji z Polski.

SĄD NAD PRZEWROTNOŚCIĄ

Wanda skończyła swe opowiadanie.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Obydwoje rozmyślali nad temi dziwnemi kolejami losu, które rozłączyły ich na dalekim oceanie — prowadziły przez miasta i puszcze brazylijskie, aby ich połączyć znowu na ziemi ojczystej.

Tomasz był teraz szczęśliwy. Rozumiał już wszystko i radował się, że przeszłość jego ukochanej jest tak czysta.

Wanda jednak uważała za stosowne wyjaśnić jeszcze jedną sprawę.

— Dziwisz się może, najdroższy, że zgodziłam się zostać żoną Henryka, nie kochając go...

— Ależ... chciał przerwać to usprawiedliwienie się, którego zupełnie nie wymagał i które było mu przykre.

— Pozwól jednak... Widzisz, było mi tak źle u ciotki... Chciałam się wyrwać z tego domu za wszelką cenę a nie umiałam wtedy pracować — uśmiechnęła się — nie nauczyłam się zresztą tego dobrze i do dnia dzisiejszego, jak to mogłeś zauważyć; pozostawało mi tylko małżeństwo. Henryk wydał mi się człowiekiem sympatycznym. Wreszcie te intrygi, o których już wiesz, skłoniły mnie do wyjazdu. Nie mogłam ani chwili pozostać w tym domu, w którym pokazano mi drzwi. Nie mogłam przecież błagać ich o przebaczenie za winy, których nie miałam na sumieniu. Domyślałam się, że padłam ofiarą intrygi... Wiedziałam, że Jerzy podobał się Feli. Gdy więc zaręczył się ze mną — zazdrość mej kuzynki nie miała granic.

Zamilkła, gdyż wspomnienie tych ogromnych chwil sprawiało jej widoczną przykrość. Uważała jednak, że obowiązkiem jej wyjaśnić jest wszystko Tomaszowi... Nie zniosłaby, by istniał między niemi choćby cień jakiejś nieufności.

— Widzisz, te dwie kobiety torturowały mnie poprostu wtedy — śledziły każdy mój krok. A nie mogąc znaleźć niczego zdrożnego w mem postępowaniu, chwyciły się fałszu. Nie chcę ich za to sądzić... Fela działała pod wpływem zadraśniętej ambicji — wszak ona chciała podbić sobie serce Jerzego... Henryk zaś chciał mnie zabrać z tego piekła. Byłam mu wdzięczna za to, lecz nie chciałam z nim jechać. Nie mogłam stawiać jego rodziców przed faktem dokonanym, iż przywozi sobie narzeczoną z Polski. Czekałam na ich listowną zgodę. Odprowadziłam go na dworzec, gdy wyjeżdżał do Gdyni. Jeszcze w ostatniej chwili błagał mnie, abym nie odmawiał jego prośbie. Po powrocie do domu — ciotka i kuzynka przyjęły mnie obelgami. Nie mogłam się bronić. Rzuciły mi w twarz, jakieś listy anonimowe, z których miało wynikać, że prowadzenie się moje było niemoralne...

Tomasz chwycił rękę Wandy i ucałował ją ze czcią.

* *
*

Jerzy Krotoski po otrzymaniu orzeczenia grafologa — poczuł wyrzuty sumienia. Skrzywdził tak bardzo niewinną dziewczynę, wierząc listom, które zostały sfałszowane.

Lecz czyja ręka w takim razie pisała te listy?

Jedyną osobą, zdolną do tego — była Felicja Mielczarkiewiczówna. To była zemsta podyktowana zazdrością...

Czy podłość ta ma pozostać bezkarną?

O nie — panna Felicja musi dowiedzieć się, że została zdemaskowaną, że podstęp jej wykryto.

Jerzy wyjął z szuflady biurka obydwa listy, włożył do dużej koperty, dołączając swój bilet wizytowy. Wypisał adres Feli Mielczarkiewicz.

Po wysłaniu listu, oczekiwał na świadków pana Mielczarkiewicza. Przypuszczał, że Fela poskarży się ojcu, który zażąda satysfakcji za obrazę, wyrządzoną jego córce.

Ale mijały dni, a świadkowie nie zjawili się.

Wreszcie na trzeci dzień po wysyłce listów — służący Jerzego zameldował:

— Jakaś pani pragnie się widzieć z panem...

— Prosić do salonu...

Rozsunął portjerę — ujrzał pannę Mielczarkiewicz, stojącą koło fortepjanu.

Jerzego ogarnęło zdumienie.

Co mają oznaczać te odwiedziny? Czyżby panna Mielczarkiewicz, bojąc się dalszych korespondencyj przyszła prosić go o milczenie?

Może zechce się usprawiedliwić?

Lecz jakież mogą być argumenty, które przytoczy na swą obronę? W każdym razie czeka go z nią rozmowa niemiła, którejby rad był uniknąć. Przecież nie może być brutalnym wobec kobiety, która bądź co bądź okazała mu tyle zaufania, iż przybyła sama do jego mieszkania. Lecz jeśli ta wizyta ma oznaczać, że panna Mielczarkiewicz zdecydowana jest...

Nie — to chyba niemożliwe...

GDZIE WIELE RZECZY SIĘ ZAOSTRZA...

Jerzy skłonił się na powitanie Feli w milczeniu — starając się przybrać jak najbardziej obojętny wyraz twarzy.

Wskazał jej krzesło.

Lecz panna Mielczarkiewicz nie usiadła — jej drżąca ręka podała Jerzemu kopertę z listami.

Wziął listy z dłoni Feli — wzrok jego wyrażał przytem pytanie, na które panna Mielczarkiewicz musiała odpowiedzieć.

Twarz jej pokryła się bladością. Wytrzymała jednak wzrok Jerzego, a po dłuższej chwili, gdy milczenie stało się zbyt męczące, wyrzekła tonem zdecydowanym.

Tak, te listy były pisane moją ręką, — przyznaję się, ale — tu głos jej załamał się, stał się dziwnie miękki, drżący... — czy pan domyślił się, dlaczego to uczyniłam?...

Milczenie Jerzego dało do zrozumienia Feli, że nie ma on najmniejszej ochoty dowiadywania się pobudek, jakie powodowały nią w chwili, gdy, zabierała się do pisania fałszywych listów.

Jednak nie zraziło jej to. Musiała mu przecież to

wszystko powiedzieć. Tak długo ukrywała przed nim całą prawdę, a przecież gdyby wiedział...

...gdyby wiedział, nie wpatrywałby się teraz w nią wzrokiem tak obojętnym, tak bezsilnym. Czuła doskonale, że Jerzy pogardza nią, że uważa ją za nikczemną intrygantkę. A teraz tryumfuje nad nią, gdyż przyszła ukorzyć się przed nim, wyznać mu swe winy.

Lecz właśnie dlatego musi powiedzieć wszystko... przecież nie może dopuścić, by Jerzy miał o niej tak złe mniemanie. I dlatego przemogła się.

Widziała lekki uśmiech ironji, jakim Jerzy powitał pierwsze jej słowa — lecz niezrażona tem mówiła dalej...

— ...wiedziałam, że Wanda nie kocha pana — było jej źle u nas, chciała wyjść za mąż, pan był dla niej dobrą partją — i niczem pozatem, a ja...

Zamilkła. Z trudem przychodziło jej czynić wyznania najskrytszych swych uczuć przed człowiekiem, który smagał ją drwiącem spojrzeniem, z góry, już odnosząc się z niewiarą we wszystko, co powie.

A przecież tak jej bardzo zależało, by jej uwierzył! Mówiła szczerze. Może nigdy w życiu nie była bardziej sobą, niż w tej chwili...

Już miała wypowiedzieć to słowo, na którem opierała całą swą przyszłość, całe swe szczęście, gdy zmroził ją bezwzględny ton głosu Jerzego, przemawiającego z gestem prokuratora.

— To wszystko jednak nie usprawiedliwia pani. Nie wolno było pani rzucać potwarzy na niewinną dziewczynę! — Czy zdawała sobie pani sprawę — jak wielką krzywdę wyrządza pani swej kuzynce, krzywdę, którą doprawdy trudno naprawić...

Przygryzła nerwowo wargi. Drżała cała, serce jej biło gwałtownie, łzy cisnęły się jej do oczu.

Jerzy spostrzegłszy, jakie wrażenie wywarły jego słowa, przerwał swą mowę oskarżycielską, dodając:

— Niech pani usiądzie — proszę się uspokoić. — Zresztą chciałbym się dowiedzieć wszystkiego, co mogłoby przyczynić się do wyjaśnienia tej przykrej dla nas wszystkich sprawy...

Fela usiadła. A po chwili, opanowawszy się nieco, sięgnęła ręką po torebkę, leżącą obok niej na stoliku.

Śledził uważnie jej ruchy.

Panna Mielczarkiewicz w milczeniu otwiera torebkę i wyjmuje z niej jakiś przedmiot.

Co to jest?

Krotoski przypatruje się z zainteresowaniem.

Zbliżyła się do Feli. Dziewczyna uśmiecha się doń smutno i podaje mu przedmiot wyjęty z torebki.

Jest to mały posążek malachitowy, wyobrażający Buddę coś w rodzaju breloczka do dewizki czy bransoletki...

Wziął do ręki figurkę. Był to jeden z tych tysięcy drobiazgów, jakie produkuje się masami, bez większej wartości.

Obejrzał Buddę — i nagle drgnął: na figurce pod spodem wyryty był scyzorykiem napis „Luba 16. X. 1916".

Fela patrzyła spokojnie na Jerzego, który cofa się myślami wstecz do lat wojny światowej.

Wspomnienie jego biegnie słabym śladem, wskazanym mu przez minjaturowego Buddę. Aż zatrzymuje się na postaci młodego porucznika artylerji polowej.

Było to w czasie walk na Wołyniu, toczonych ze zmiennem szczęściem z wojskami niemieckiemi i austrjackiemi. Służył wówczas w armji rosyjskiej.

Po kilkunastu dniach piekła na froncie, gdy trzeba było ogniem artyleryjskim przygotować szturm piechoty, gdy śmierć zbierała obfite żniwo, a żołnierze i oficerowie padali ze zmęczenia, przyszedł wreszcie rozkaz odmarszu na tyły. Na odpoczynek!

Jeszcze dzisiaj rozkoszuje się tem słowem!

Odpoczynek to znaczy — sen do woli, wylegiwanie się na miękkiem posłaniu, regularne jedzenie, odprężenie nerwów, kąpiel i tysiące tych rozkoszy życia, które ocenia się dopiero w całej pełni wtedy, gdy ich zabraknie...

Z jaką radością komenderował wtedy swą baterją, odjeżdżając na odpoczynek. Konie, wydawało mu się, parskały radośnie i z większem przejęciem ciągnęły zakurzone działa po szerokim trakcie wołyńskim.

Posuwali się zmęczeni, wyczerpani, wzdłuż okolicy znaczonej wojną. Po obu stronach drogi leżały szkielety niepogrzebanych koni, sterczały pogorzeliska, włóczyły się psy bezdomne. Pola poorane szrapnelami rodziły tylko chwasty. Czarnoziem wołyński nie dawał wtedy chleba. Rozkopywano go tylko by chować plon wojny, syberyjskich olbrzymów w długich szynelach, kaukaskich Tatarów ze skośnemi oczyma czy krzepkich chłopów z Rosji Środkowej.

Żołnierze jadący na działach, odchylali wzrok od krzyżów, wyciągających się długim rzędem przy drodze. Zbyt smutny i ponury był to widok. Od tych cmentarzy wojennych wiało pustką i zapomnieniem.

Dął wiatr wschodni. Oficerowie i żołnierze spoglądali tęsknie na wschód; zbliżali się do tych okolic, gdzie jeszcze tliło się życie, gdzie mordowanie nie było jedyną treścią codziennych zajęć.

Powoli zamieniał się krajobraz.

Ukazywały się chaty na pół rozwalone, kępy drzew nieściętych, a nawet całe zagajniki.

Ludzie wybiegali z chat i przypatrywali się maszerującym kolumnom i ciągnionym przez wychudłe konie armatom, których koła grzęzły w piachu.

Przybyli wreszcie do jakiejś większej wsi cerkiewnej,gdzie mieli wyznaczoną kwaterę.

Było to daleko za frontem. Huk armat brzmiał jak grzmoty oddalającej się burzy. Zapadał zmrok, kiedy baterja ustawiła się na placu przed cerkwią, a gromada dzieciaków bardziej śmiałych zbliżyła się do armat i przyglądała się im wzrokiem ciekawym.

Bose, obdarte, wynędzniałe dzieciaki patrzyły z podziwem na żołnierzy, których natomiast wzrok łakomie przylgnął do młodych dziewcząt stojących w gromadzie — w przyzwoitej odległości. Dziewczęta śmiały się i popychały się wzajemnie łokciami.

Przed paroma tygodniami paradowały na placu przed cerkwią oddziały niemieckie, które po ataku rosyjskim opuściły wieś.

Padła wreszcie upragniona komenda „z konia".

Stuknęły buciska kanonierów. Poczęto rozdzielać kwatery. Jeszcze nie czas na odpoczynek. Trzeba najpierw zająć się końmi, działami — rozstawić warty...

Zajechały kuchnie polowe, koło których gromadliwie wdychając woñie smakowitego jedzenia, unosząc się na kwaterach.
dzić się poczęła wygłodniała ludność wioski, pożą-

Jerzemu wypadł nocleg u miejscowego popa.

Wszedł do dużej sieni drewnianego domu, brzęcząc szablą i ostrogami. Mignęła mu twarz dziewczęcia, wychylająca się zza drzwi, wiodących zdaje się do kuchni. Po chwili ukazał się sam pop, który wprowadził porucznika do pokoju, mającego uchodzić za salon. Jerzy usadowił się w głębokim fotelu, wybitym pluszem, obawiając się trochę, że stary mebel rozleci się przy pierwszem żywszem poruszeniu.

— I niech mi pan powie, panie poruczniku — zaczął pop zajmującą rozmowę — kiedy się ta wojna skończy?

Jerzy nie miał jednak ochoty rozmawiać o wojnie.

— Gdzie się tu można wykąpać — zapytał w odpowiedzi.

Pop skrzywił się, niezadowolony, iż nie może się niczego dowiedzieć od oficera wracającego przecież z frontu i odparł niedbale.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

CO MINĘŁO — NIE POWRÓCI

„Kasperuś". Przed tobą całe życie
i cały piękny świat,
a chociaż troska czai się skrycie —
śmiech zatrze smutków ślad.
Szeroko oczy otwórz w zachwycie!
Odnajdziesz szczęścia kwiat.
Przed tobą całe bogate życie
i cały piękny świat.

Wierszyk powyższy dałam jako motto mej odpowiedzi na list Pana. A teraz dlaczego?

Z słów Pana, takich szczerych i obszernych, wywnioskowałam, że zalicza się Pan do kategorji ludzi, którzy wszystko w życiu biorą bardzo poważnie i głęboko. Przymiot to piękny, jednakże... nie każdemu daje szczęście. Panu nie dał również... Gdyby może Pan w uczucie, które Pana ogarnęło, nie włożył całej duszy i serca, gdyby uczuciu temu nie oddał się niepodzielnie, może byłby Pan dzisiaj zupełnie szczęśliwy. Stało się jednak inaczej! Z chwilą, gdy stracił Pan szczęście, stał się fatalistą. Nic Pana nie zdołało już pociągnąć, ani zainteresować — poza tamtym utraconym światem nie znalazł Pan już nic równego i godnego uwagi...

Drogi Panie! Ból i żal za utraconem szczęściem jest dowodem subtelności uczuć i wrażliwej duchowej struktury Pana, jednakże życie to nietylko ból i tęsknota, życie to także przejaw piękna i bogactwo różnorodnych uczuć. Zamiast więc pogrążać się w żalu i rozpamiętywaniach nad tem, co już nie wróci, lepiej szukać zapomnienia w tem, co jest radosne, pogodne i dobre. Niech Pan sobie stworzy nowy świat — pogodniejszy. W pracy, w pięknie natury, którą Pan tak kocha, niech Pan szuka ukojenia i zapomnienia o smutku. Jest Pan przecież jeszcze młodym i pełnym sił, których napewno Panu wystarczy do zwalczania zła i zbudowania sobie nowego wewnętrznego szczęścia.

Nie wiem, czy słowa moje przemówią Panu do serca, jednakże jakikolwiek będą miały skutek, proszę Pana o nowy list. Niech mi Pan w nim napisze znowu szczerze co myśli o tem, co napisałam i o tem, jak się Pan ustosunkował do mojej odpowiedzi. Czy zgoda?

Wierszyk słaby. Może z następnych coś wybiorę. A teraz kilka słów Pana:

„Najmilszą moją rozrywką to praca na roli. Bo czyż nie miło w polu, gdy wiosną szary skowronek zawiśnie u stropu błękitów, albo w żniwa, rozbrzmiewające srebrzyście brzękiem kos, albo jesienią, gdy pola zasnuwa biel pajęczych nitek. Nawet zima na wsi jest piękna, fantastycznie pokryta górą śniegów na chatach i drzewach. Kto pojmuje urok wsi, tak, jak ja go pojmuje, niech będzie łaskaw podzielić się ze mną entuzjazmem swej młodej duszy. Może napisze do mnie: „Śnieżna Kula" — „Śnieżyczka" — „Gwiazdeczka" — „Smutna Zocha" — „Dziewczę Stepów" lub „Nieznana Zośka"?

„CZY ZNAJDĘ?"

„Morowa Sztubaczka". Życzę Pani dużo powodzenia w nawiązaniu korespondencji i dzielę się z wszystkimi Sympatyczkami wiadomościami z Pani liściku:

„Jestem blondynką o marzących niebieskich oczach, strasznie „dziką" i roztrzepaną. Ale to chyba nic nie szkodzi, przecież jestem jeszcze bardzo młodą, a życie poznałam tylko z jego dodatniej strony i jak mamusia mówi, patrzę na nie przez różowe okulary. Mieszkam na wsi, w pięknym pałacyku otoczonym parkiem i wodą. Czuję się jak królewna w zamkniętym zamku, lecz — brak mi królewicza. Czy znajdę go w „Pustelniku z zaklętego ogrodu", w „Adamie z Raju", lub w „Adisie"? A może w kim innym? Odpowiedź z mej strony na nadesłany liścik będzie murowana. Kończąc zasyłam miłe pozdrowienia Zośce i Irce Zarembiankom z Brus.

LISTY Z POSTE - RESTANTE WRÓCIŁY

W. S. 202 poste — restante, Inowrocław. Listy wysłane na powyższy adres — wróciły. Proszę o podjęcie ich w naszej redakcji.

KILKA KOMUNIKATÓW „WANDZI z B."

„Wandzia z B." Uwaga! Sympatycy „Krainy"! Oto kilka komunikatów „Wandzi z B.", przeznaczonych dla niektórych z Was:

„Gladjatorze"! Jak na bohatera za rychło złożyłeś broń. Dlaczego?

„Rom — Marze"! Czy to tak trudno spełnić prośbę szarej Dziewczynki?

„Erosie"! Serdecznie dziękuję za pozdrowienia i szczerze je odwzajemniam. Może zechcesz do mnie, zawsze smutnej, napisać?

„Lotniku z Pomorza"! Ciekawa jestem kto otrzyma przyrzeczoną przez Ciebie książkę. Przepadam za książkami, tylko, niestety, wiersze moje nie wszystkie są dobre. Może prześlesz mi jakiś odzew? Jestem również Pomorzanką.

„Szaremu Człowiekowi" życzę dużo radości i powodzenia w życiu.

Część listu Pani przedrukowałam, zaś na resztę listu, zamiast specjalnej odpowiedzi, daję Pani wyjątek z noweli Marji Rodziewiczówny pod tyt.: „Rozstajne drogi". Mam wrażenie, że słowa te, przemówią Pani do duszy:

„Nie sztuka przejść przez życie, gdy wszystko sprzyja, gdy ramię silne osłania, a kochająca ręka chmury z czoła ściera; ale iść samej po śliskiej i trudnej drodze, a nie upaść; dźwigać samej ciężar życia, a nie ugiąć się; mieć piersi pełne łez, a światu i ludziom ukazywać zawsze oko suche i jasne, czoło pogodne i usta uśmiechnięte... to zasługa i moc prawdziwa".

ADRESY

O adresy, celem przesłania listów znajdujących się w redakcji, są proszeni: „Zapomniana Sylena" — „Wesoły Łobuz z Warszawy" — „Płacząca Brzoza" — „Ananke" — „Szczery Gladjator" — „Wesoła Ślązaczka" — „Dumna Władka" — „Aloha" — „Czarny Saturn" — „Uśmiech Poranku" — „Filantrop" — „Jesion" — „Ogrodniczka" — „Nieszczęśliwa" — „Dziewczę z Pomorza" — „Bezinteresowny" — „Przedwiośnie".

„I MY PRAGNIEMY NALEŻEĆ DO „KRAINY"...

„Zula" i Baśka" nadesłały mi bardzo miły list, który w całości oddaję do przedruku, z tą myślą, że wywoła on należyty odzew wśród Sympatyków „Krainy":

„Droga Pani Zofjo! Zgłaszamy się do „Krainy", bo pragniemy należeć do tej wielkiej Rodziny kosmopolitycznej, składającej się z przeszło tysiąca członków, według statystyki „Elżuni z Torunia".

O wzajemnym szanowaniu się tak licznej rodziny świadczy „Kraina szczerości", w której jedni drugim pomagają współczuć i jedni drugim łagodzą bóle życiowe. I oto do tak miłej rodziny pragniemy należeć i my. Według zwyczaju przedstawiamy się:

„Jesteśmy siostrzyczkami. Obydwie posiadamy uczuciowe serca i nieskazitelne uczucia. „Baśka" to młoda i żywa istota, zgrabna jak sarenka. Lubi taniec, muzykę oraz marzyć o zmroku. „Zula" to wysoka, smagła i śmiała, pełna werwy sportsmenka, absolwentka Szkoły Rolniczej. Mieszkamy w małej wiosce, okolonej jeziorem. Wiosną i w lecie jest w naszej wiosce bardzo ładnie, ale zimową porą, świat tutaj „zabity deskami", jak wyraziła się „Nimfa z Puszczykowa". Jesteśmy więc wtedy skazane na samotność. Prawdziwą radością dla nas będzie otrzymanie od kogoś liściku. Czekamy więc na niego i przesyłamy wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom moc pozdrowień".

PRZEMIŁE RYMY

„Wirryt". Człowiek czasem staje się dzieckiem. Potrafi z czegoś cieszyć się po dziecinnemu i radby się tą swoją radością z wszystkimi podzielić. Na takiej dziecinnej radości przyłapałam się właśnie po przeczytaniu listu Pana, „Wirrycie". Jest Pan szalenie miłym Chłopcem! Listu, ponieważ jest dość długi, nie zamieszczam z braku miejsca, ale nie mogę się oprzeć pokusie, by nie oddać do przedruku rymowanego wstępu z listu Pana. Voila!:

„Wszechwładna Królowo przemiłej „Krainy",
„Krainy trosk naszych i naszych szczerości",
Do Ciebie codziennie setki listów płyną
od Twoich poddanych. Każdy swe radości,
smutki czy zwątpienia, miłosne zawody,
i serdeczne męki, jak przed matką swoją,
przed Tobą wywnętrza i ufa, że podasz
mu dłoń pocieszenia, że go uspokoisz.
A Ty, jak przystało łaskawej władczyni,
żadnego z tych błagań nigdy nie odtrącasz,
i nawet żadnego listu nie pominiesz,
lecz każdy cierpliwie przeczytasz do końca.
I cieszysz się, gdy komuś jasno, radośnie,
a gdy ktoś się smuci i Tobie jest smutno
i dla takiego zawsze znajdziesz litosne
słowo pocieszenia w doli okrutnej.
— — — — — — —
Dziś — ja — nowy sługa, zwracam się do Ciebie
byś raczyła mnie przyjąć do swej „Krainy"
i przedstawić mnie swemu małemu ludowi...

Dziękuję Panu! Gdybym nie posiadała w sobie odrobiny krytycyzmu, porosłabym niewątpliwie po tej odzie Pana, w piórka. Dzięki Bogu, nie grozi mi to jednak narazie — ale, swoją drogą, proszę Pana na przyszły raz o powściągliwość w uznaniach, gdyż mogłabym rzeczywiście... porość w piórka.

Z nadesłanych wierszy przeznaczam do druku: „Do „Ord - Oma". Pozdrawiam w imieniu Pana „Samotną Konwalję" i „Te — Em" i wreszcie zamieszczam apel Pana:

„Wirryt" — oto mój pseudonim,
czy ładny, nie wiem, osądźcie sami
i napiszcie w „Krainie", lecz zanim
to nastąpi, choć ukłonię
Wam się zdaleka i przedstawię. Z pewnością
to sprawę poznania o wiele uprości.
A więc zaczynam:
Metr i osiemdziesiąt wzrostu.
Ktoś mi powie: „Drab", poprostu.
Zgoda!
Lecz czyż moja w tem jest wina,
żem do pana jest Longina,
rodem
z „Trylogji" sienkiewiczowskiej
podobny zrządzeniem Boskiem?
Młody jestem, czy też stary?
Lat dwadzieścia... no i parę.
Włosy?
Ciemne i ciemno — niebieskie
mam oczy. Przystojny jestem
dosyć.

ODPOWIEM NA LIST KAŻDEMU

„Tajemnicza Księżniczka". Bardzo chętnie zamieszczam apel Pani. Oto on:

„Jestem wesołą, zgrabniutką czarnulką, muzykalną. Ponieważ rozporządzam dużą ilością czasu, chciałabym go wykorzystać na prowadzenie korespondencji. Może więc napisze do mnie ktoś inteligentny i sympatyczny? Odpowiem każdemu. Może odezwie się do mnie „Zdobywca Serc" — „Rom - Mar" — albo p. M. Grzegorski, którego wierszyki bardzo lubię"?

POSTARAM SIĘ NIE ZAWIEŹĆ

„Biały Kruk". Dziękuję Panu za miłe słowa, skierowane pod adresem „Moich Powieści" i mojem. Zaufania, jakiem się obecnie cieszę u Pana, postaram się nie zawieźć. Apel zamieszczam:

„27-letni młodzieniec, bardzo osamotniony, zapytuje, czy w „Krainie", nie znajdzie się ktoś o złotem serduszku i nie rozweseli jego monotonnego życia Mieszka na wsi, do której przywiązała go zawodowa praca".

NIE WYSTARCZA BYĆ ZADOWOLONYM, TRZEBA BYĆ JESZCZE SZCZĘŚLIWYM"

„Tęsknota z Działdowa". Droga Pani! Ten „nieokreślony smutek i niewytłumaczona tęsknota", które Panią nawiedzają, to rzecz bardzo prosta do wyjaśnienia. A teraz dlaczego? Wytłumaczę to Pani jak najprościej:

Czy widziała Pani kiedyś pracowitego człowieka, znajdującego szczęście w swej pracy — smutnego? — Nie, prawda? Człowiek ten był wesoły i beztrosko uśmiechnięty... Weźmy inny przykład! — Czy napotkała Pani kiedyś matkę, posiadającą zdrowe, kochane dzieci — z pochmurną twarzą? Także nie! Matka ta, chociaż miała może wiele ubocznych zmartwień i kłopotów, była pogodna, a pogodę tę czerpała z jasnych twarzyczek swych dzieci... I jeszcze jeden przykład: zapewnie nie znała Pani nigdy, młodej, szczęśliwej narzeczonej — smutnej? — nie, bo i ona radość i ciszę szczęścia czerpała z miłości i wiary w słoneczne jutro...

Pani, Droga „Tęsknoto", nie znalazła dotychczas nic takiego co dałoby Pani pełnię szczęścia. Praca Pani jest bardzo wzniosła, ale — jak wnioskuję z listu, nastraja Panią smutnie. Może daje ona Pani zadowolenie, ale nie daje szczęścia, a „nie wystarcza być zadowolonym, trzeba być jeszcze szczęśliwym". Poza pracą brak Pani także wiary w przyszłość. Przyszłość Pani jest niepewna i tajemnicza, bo wie Pani, że nikt na Panią nie czeka i nikt kochany o Pani nie myśli, przyszłość Pani jest smutna, bo zdaje sobie Pani sprawę, że życie może ulecieć niepostrzeżenie, a gdy Pani się za niem odwróci, spostrzeże, że brak w niem było szczęścia, że ominęła je Pani w drodze. Oto powody „nieokreślonego smutku i niewytłumaczonej tęsknoty"...

Kochana „Tęsknoto"! Bądź jednakże spokojną i pełną wiary, niech nie gnębią Cię przykre myśli. Jesteś szlachetną kobietą i zasługujesz na szczęście, więc nie ominie Cię ono. Może długo na nie czekałaś i tęskniłaś za niem szczerze, to też przyjdzie wreszcie cicho i niespostrzeżenie. Niewiadomo skąd, może zbliska, może z daleka, gdzieś z szerokiego świata, ale przyjdzie... Zwłaszcza, gdy się dowie, że tęskni za niem ktoś bardzo samotny i bardzo dobry...

„ŻYJĘ OSAMOTNIONA, JAK PUSTELNIK"...

„Blondynka z pod Bydgoszczy." Na listy odpowiadam kolejno, więc nie mogłam dać Pani wcześniej odpowiedzi, jak dopiero dzisiaj. Posiadam jednak cichą nadzieję, że słowa moje trafią do Pani nawet na wakacjach. Słowa moje i jak najserdeczniejsze życzenia spędzenia w radosnym i miłym nastroju wakacji.

A teraz, ponieważ list Pani jest bardzo miły i nastawiony poetycznie, pragnę, aby go sobie przeczytali wszyscy:

„Mieszkam od dwuch lat w dużej lecz zamieszkałej przez Niemców wiosce. Atmosfera tutaj jest zupełnie dla mnie obca, nic więc dziwnego, że czuję się źle, chociaż wieś i życie wiejskie kocham całem sercem.

W piękne ciche, księżycowe wieczory lubię słuchać szumu lasu, rechotu żab i naszczekiwań psów. Ta wiejska kapela nastraja mnie zawsze marzycielsko. Brak mi jakiegokolwiek towarzystwa, gdyż w całej wiosce niema żadnej polskiej dziewczynki. Czy to nie straszne? Nie posiadam żadnego bliskiego serca, któremu mogłabym powierzyć wszystkie myśli, troski i marzenia. Żyję osamotniona jak pustelnik. Jeżeli ktoś napisze do mnie pokocham go całem sercem i duszą. Czekam więc na list od kogoś dalekiego, nieznanego, a kochanego. Czy znajdzie się ktoś taki?

Ucieszyłabym się niezmiernie, gdyby napisał do mnie ktoś z pod Krakowa lub Lwowa...

Hallo! „Medyku", czy nie byłeś czasem w obozach letnich L. A. w S. K.? O ile tak — to proszę odezwij się do mnie.

Na zakończenie pozdrawiam serdecznie: „Kwiat z Hawai" — „Smutną Broniś" — „Adisa" — „Marona" — „Lutka" — „Pella" — „Kazika z pod Trzemeszna" i „Erosa". Napiszcie do mnie! Odpowiedź murowana"...

HISTORJA PEWNEJ MIŁOŚCI

„Czerwona Róża". „Jestem bardzo samotna. Właściwie lubię bardzo samotność. Kiedy zmrok otoczy ziemię, tak, że już nic rozróżnić nie można i na niebie zapalą się złote gwiazdki, wtedy otwieram okno, siadam na niem i marzę. Marzę o tym, który ukradł mi spokój mej duszy. Wypatruję wtedy błyszczącej gwiazdki, która świeci nad nim, która mogłaby mi powiedzieć co on teraz robi. Zjawił się w mem życiu w bardzo tajemniczy sposób i w taki sam tajemniczy sposób znikł, pozostawiając w mem sercu żal. Poznałam go na wsi, podczas wakacji. Teraz boję się tam pojechać, aby go nie spotkać... rana bolałaby bowiem więcej".

Droga „Różyczko"! Przepraszam Cię bardzo, że tak bez żadnej aprobaty, przedrukowałam historję Twej miłości, ale uczyniłam to nie bez celu. Chodzi mi mianowicie o to, aby ktoś zainteresował się zawiedzioną „Różyczką" i przesłał Jej kilka słów. Może to być „Cyganka z gondoli złudy" — „Leśna Rusałka" — „Smutny Edek" lub „Parys II", którymi to Sympatykami interesuje się Pani i których serdecznie pozdrawia, albo może to być ktoś inny — królewicz, ten z niespełnionych marzeń „Czerwonej Różyczki".

SZUKAJMY PRZYJAŹNI I NIEŚMY PRZYJAŹŃ"

„Iucundus agricola". Tak, jak Pan sobie życzył, listy wysłałam i sądzę, że je Pan odebrał?

Odezwę Pana zamieszczam i polecam ją uwadze wszystkich Sympatyków. Warto się nad nią zastanowić i trochę podyskutować.

„W „Krainie szczerości i naszych trosk", w tej wielkiej rodzinie, jest wiele odmiennych zdań i zapatrywań. Chociaż jesteśmy złączeni przyjaźnią i szczerością, to jednak nie jesteśmy względem siebie szczerzy. Dlaczego? Otóż dlatego, że pewne jednostki Sympatyków, pomimo obietnic w apelu, nie dawają na każdy list odpowiedzi. Tak być nie powinno. Powinniśmy zawsze dotrzymywać słowa i za punkt honoru uważać wypełnienie wszelkich przyrzeczeń. W „Krainie" powinniśmy stwarzać ogniwa jedności i poczucie obowiązkowości i to powinśno nas złączyć w rodzinę, darzącą się prawdziwą przyjaźnią i szczerością.

Pozatem ustosunkujmy się jak najprzychylniej do wszystkich członków „Krainy". Tylu wśród nich jest zgorzkniałych i strapionych — tych więc pocieszmy. Nie idźmy sami przez życie, szukajmy przyjaźni i nieśmy przyjaźń.

Na zakończenie przesyłam wszystkim Sympatykom miłe pozdrowienia".

DZIĘKUJĘ!

„Tam — Ryszard". Dziękuję Panu za słowa uznania. Zapamiętam je sobie długo i starać się będę nadal o zdobycie zaufania wśród moich Sympatyków.

A teraz wypełniam polecenie i pozdrawiam w imieniu Pana: „Zaczarowaną Cyganeczkę" — „Tuberozę" — „Dziką Cygankę" — „Dumke" — „Śnieżyczkę" — „Gwiazdeczkę" — „Smutną Wandeczkę" i p. Marję B. z T. Oprócz tego prosimy wymienione Panie, aby zechciały napisać do „Tam — Ryszarda", kilka miłych słów.

Teczka Wujka Janusza

KWITNĄ KWIATY...

W małym ogródku uroczym,
Kwitną już bratki i róże,
Gdy je rzęsisty deszcz zmoczy,
Wznoszą się w słońcu ku górze.

W małym ogródku uroczym,
Znów każde drzewko odżyło,
Gdzie tylko zwracam swe oczy,
Wszędzie zielono i miło.

Razem z dziewczynką swą małą
Usiądę w cudnej altanie
I spytam cicho, lecz śmiało:
„Czy wiesz, co miłość, kochanie?..."

Gdy zalśni księżyc srebrzysty,
I kwiatów woń nas upoi,
Wnet pocałunek ognisty
Złożę na ustach dziewoi....

Mieczysław Grzegorski.

NIEPRAWIDŁOWY RYTM

„Wilk Morski". Zasadniczym błędem w wierszu Pana to brak rytmu, rytm zaś, jak już tyle razy pisałem, to to samo, co w pieśni melodja. Pokażę Panu na prostem przykładzie na czem polega rytm. Weźmy pierwszą zwrotkę z Pańskiego wiersza:

„Młodości mojej spełnia się sen,
Upojnych marzeń widzę już kształt,
Nowy wschodzący wita mnie dzień,
Różanych jutrzni pełen".

A teraz ta sama zwrotka po poprawce:

„Młodości mojej spełnia się sen,
Upojnych marzeń widzę już kształt,
Nowowschodzący wita mnie dzień
I jutrzni rannej złocisty blask".

Zapewnie Pan wyczuwa różnicę pomiędzy jedną zwrotką, a drugą? Otóż druga zwrotka posiada rytm, którego brak w pierwszej. Jeżeli opanuje Pan technikę rytmu, będzie Pan pisał wiersze dobre, gdyż myśli Pana są i głębokie i bardzo ładne. Łączę szczery uścisk dłoni i oczekuję nowych wiadomości.

CZY SŁYSZAŁA PANI KIEDYŚ ?...

„Blanka". Proszę, niech Pani podziękuję serdecznie, Nieznanej, za pozdrowienia. Nie przypominam sobie tej wesołej dziewczynki. Może mi p. „Blanka" napisze o niej coś konkretniejszego?

Ucieszyła mnie wiadomość, że egzamin wypadł gładko. Obawy Pani były zastraszające tak, że sądziłem, że sytuacja jest naprawdę groźna. Kiedy otrzymam od Pani, „Blanko" nowy list i kiedy porzuci Pani swoje „skrupuły"? To ostatnie, proszę, niech Pani weźmie pod uwagę i wyzbędzie się tego. Czy słyszała Pani kiedy, aby przyjazne i serdeczne słowa były komuś niemiłe? — zapewnie nie! A więc niech Pani swobodnie obdarza mnie listami!

DLACZEGO?

„Stella Maris". Wierszyk tym razem wypadł lepiej — zamieszczam go niżej. Ostatni liścik Pani był bardzo krótki — dlaczego? Lubię bardzo zwierzenia Pani i zawsze je odczytuję z radością, to też przykro mi, gdy pisze Pani mało. Może doniesie mi Pani dokąd wyjeżdża Pani w bieżącym roku na wakacje i co ostatnio Panią najwięcej absorbuje. Proszę przyjąć serdeczne pozdrowienia od życzliwego i oddanego przyjaciela i darzyć go jak najczęstszą pamięcią. Dopisek z listu Pani z przyjemnością oddaję do druku:

„Artylerzysto z pod Gniezna", dziękuję Ci za kilka miłych słów, przesłanych mi za pośrednictwem „Krainy". Może zdecydujesz się napisać do mnie, Dzielny Wojaku?

Wiele miłych słów i pozdrowień ślę także „Orliczowi".

„Bajko", dlaczego milczysz i nie odpowiadasz na mój list, wysłany już dość dawno?

WIOSENNY RANEK

Wiosenny ranek promieniem słonecznym,
Zbudził mnie ze snu myślenia smutnego,
Oblał złocistym uśmiechem wiosennym,
Odurzył czarem zapachu kwietnego.

Wiosenny ranek promieniem słonecznym,
Wskrzesił w mem sercu pragnienia gorące,
Skusił do życia, które chce być wiecznem,
Jak sine morza falami szumiące.

Wiosenny ranek promieniem słonecznym,
Rozbudził we mnie potęgę młodości,
Kazał zamilknąć myślom moim mrocznym
Napełnił duszę uczuciem radości.

„Stella Maris".

WIĘCEJ PROSTOTY, A MNIEJ PATOSU

„Ami". W wierszach Pani jest dużo patosu. Więcej prostoty, Droga p. „Ami", a wszystko będzie dobrze. Myśli Pani są szlachetne i piękne, tylko zbyt wybujałe. Musi Pani dużo nad sobą pracować, aby usunąć wszelkie usterki z swej twórczości. Życzę Pani wytrwałości i powodzenia w pracy i kończę odpowiedź serdecznemi pozdrowieniami.

Raj kobiet

Modne fryzury



W porze letniej — pragniemy ruchu, zmiany, wrażeń, powietrza, wody i słońca, a do tego stosuje się także moda, przepisując nam odpowiednie i wygodne ubranie. Ale co z fryzurą? Czy to wygodnie kąpać się z lokami, długiemi, aż do ramion? I czy pani nie nazbyt gorąco z tym węzłym, opadającym na kark, z którego szpilki i zapinki gubi się po wszystkich kątach? A któraż z pań zgodziłaby się latem upinać warkocze? Musimy więc skończyć obecnie z tem bogactwem włosów i latem czesać się skromnie, a praktycznie. —

Więc przedewszystkiem stosujemy wieczną ondulację, która pozwoli nam dowoli przebywać na wietrze i w wodzie, bez obawy o zniszczenie misternie ułożonych fal i loków. Ale przedtem jeszcze jedna procedura: włosy należy skrócić — gdyż — wierzcie mi, moje panie — niema nic szpetniejszego, niż te rozwiane lwie grzywy i poskręcane domową karbówką loki, które przyczyniają się do tego, że pani wygląda wręcz nieporządnie.

A teraz streszczamy: modna fryzura na lato — to włosy krótko ostrzyżone, lecz końce, zwinięte w małe loczki — skręcają się tuż nad karkiem lub nieco pod górę — jak komu do twarzy. Przedział pośrodku nadal bardzo modny. Odcień platin jest w złym tonie — natomiast złotawy odcień henny cieszy się łaską mody. Na wieczór, do stroju balowego — pani upina często kwiat we włosach, taki sam, jaki nosi do sukni.

Świat i życie

Nad błękitną zatoką rioską...

(Korespondencja własna).

Rio de Janeiro, w czerwcu, 1936 r.

Jest prześliczny upalny dzień. Okręt wiozący nas do miasta wiecznego lata — Rio de Janeiro, zostawił już za sobą malowniczą starożytną fortecę Santa Cruz i Sao Joao i wypłynął na zalaną słońcem ogromną zatokę rioską, usianą licznemi wyspami i obramowaną pasmem gór.

U podnóża gór rozłożyło się Rio de Janeiro, cudowne miasto z bajki. Niezatarta chyba nigdy zostanie w pamięci urocza panorama Rio de Janeiro, którą podziwialiśmy ze zdumieniem, że jednak coś tak pięknego, może istnieć w rzeczywistości. Podziwialiśmy także olbrzymie pola porosłe palmami kokosowemi, pomarańczowemi drzewami, krzewami banana i winogron.

Wszystko to robiło się z każdą sekundą coraz bliższe — za chwilę nie było już czasu na podziw — przybijaliśmy do portu. Jeszcze kilka formalności, jeszcze kilka minut na okręcie i... stanęłam już na gruncie Rio de Janeiro.

Doprawdy, hojną miała rękę matka natura dla stolicy Brazylji — dała jej bujną, wspaniałą roślinność, cudowny klimat, otoczyła nawpół dzikiemi górami, owiała czarem południowego morza. Ogrom pracy ludzkiej już włożonej i ciągle jeszcze wkładanej dopełnił dzieła natury i uczynił z Rio de Janeiro najpiękniejsze miasto świata.

Zaraz na wstępie owiał mnie wielkomiejski zgiełk. Główna ulica Rio (szeroka 50 mtr., długa 2 klm.,) Avenida Rio Branco, cała wysadzana drzewami nieustępuje wielkim bulwarom paryskim. Mijamy ogromne i estetyczne gmachy, jak Kasa Amortyzacji Szkoła Sztuk Pięknych, Bibljoteka Narodowa, Najwyższy Trybunał, Teatr Miejski, banki, sklepy o dużych i bogatych wystawach. Na ulicy szalony ruch samochodowy; pieszy podkreśla charakter wielkiego, handlowego miasta.

Avenidę przecina szereg ruchliwych ulic, a w tej liczbie starożytna, wąziuchna Rua Quidor o bogatych domach handlowych z mnóstwem złotników i jubilerów.

Prześliczne są aleje położone nad 5-kilometrowym kanałem (Canal do Mangue) wysadzone czterema rzędami palm, z szeregiem oddzielnych will ozdobionych ogrodami o pięknych i rzadkich gatunkach kwiatów. Rio de Janeiro posiada dużą ilość parków. Do najpiękniejszych należy bezwątpienia niewielki, jeden z najstarszych w Rio — park Passeio Publico, nadzwyczaj malowniczy z wielkiemi drzewami, pokrytemi pnączami i masą epifitów, z bujną florą Brazylji. Jakże przyjemnie odpoczywa się tam w cieniu wysmukłych palm, mając przed oczyma różnobarwny łan egzotycznych kwiatów. Również przepiękny jest ogród Botaniczny, położony na krańcach miasta, jak i ogromny park Pracadda Republica lub park Quinta da Boa z bogatem Muzeum Narodowem. Najpiękniejsze części Rio to wybrzeża, które są jego dumą, jego szatą godową. Szerokie, o przepięknych alejach drzewiastych, o szmaragdowych trawnikach i barwnych klombach z umiejętnie umieszczonemi pomnikami lub rzeźbami — ciągną się one we wschodniej i południowej części miasta wzdłuż oceanu, jak zaciszna i cienista wstęga, do której podobnej niema żadne inne miasto na świecie: Praias do Flamengo, Botafogo, Capacabana i dalej, aż do odległej Avenida Niemeyer, jedna piękniejsza od drugiej.

Wczesnemi rankami, lub przed zachodem słońca, tuż na plażach, ku którym prowadzą tu i ówdzie schody, kąpią się setki mieszkańców pobliskich will i hotelów. Wieczorem, spacerujący szukają tu chłodu i powietrza.

Kto wie jednak, czy Rio de Janeiro nie wygląda jeszcze piękniej wieczorem, gdy całe błyszczy od kolorowych lamp, od tej wspaniałej iluminacji jaką tam jest codziennie oświetlone. Doprawdy miło jest wtedy siedzieć na tarasie hotelu i patrzeć na tętniące wrzawą, zalane potokami światła miasto, które jest wtedy podobne do bajki z tysiąca i jednej nocy.

Bo Rio de Janeiro nie żałuje żadnych wysiłków, nie cofa się przed żadnemi kosztami aby utrzymać w odpowiedniej oprawie tę drogocenną perłę — stolicę Brazylji, jej chlubę i ukochanie.

DOBRA GOSPODYNI

Kompot z rabarbaru

Z początkiem maja lub czerwca, gdy niema jeszcze innych owoców, a krzak rabarbaru wypuszcza dużo mięsistych łodyg, można ugotować z nich smaczny kompot, zbliżony smakiem do kompotu z agrestu. Obrać łodygi z wierzchnich włókien, pokrajać je na kawałki 2 i pół cm długości, sparzyć ukropem, a odcedziwszy, wrzucić na gęsty syrop (na pół kg łodyg, ćwierć kg cukru) zagotować parę razy i wylać na salaterkę. Dla zapachu można dodać trochę skórki cytrynowej, otartej na tarce.

Konfitura z rabarbaru

Odciąć kilka grubych łodyg rabarbaru, obciągnąć je z wierzchnich włókien, pokrajać w kawałki na 2 cm długości, zalać zimną wodą i postawiwszy na ogniu, trzymać aż woda zacznie się gotować. W tej chwili odcedzić je, uważając, aby się nie rozgotowały i przelać zimną wodą i postawiwszy na ogniu, trzymać aż woda zacznie się gotować. W tej chwili odcedzić je, uważając, aby się nierozgotowały i przelać zimną wodą. Gdy zupełnie wystygną i stężeją, obsączyć z wody, wrzucić na gęsty, syrop zrobiony z 35 dkg cukru na pół kg rabarbaru i smażyć na wolnym ogniu aż łodygi będą zupełnie przeźroczyste. Konfiturą z rabarbaru, z powodu jej ładnego zielonego koloru, można ubierać torty i zimne leguminy.

Doskonała legumina z rabarbaru

Utrzeć 3 żółtka z 7 dkg cukru oraz 3 i pół dkg masła. Roztopić w rondelku drugie 3 i pół dkg masła, wsypać 7 dkg mąki, wymieszać dolać pół szklanki dobrego mleka lub śmietanki. Wymieszać na gładką masę, wystudzić dodać utartą poprzednio masę z żółtek oraz pianę z 3 białek. Ogniotrwałą porcelanową lub szklaną rynkę naciera się masłem, wkłada ugotowany na gęsto w cukrowym syropie rabarber wymieszany z łyżką konfitury z róży, pokrywa masą beszamelową i piecze w piecyku pół godziny. Podaje się w tem samem naczyniu. Do leguminy tej użyć można również każdego innego owocu.

Ze świata

Cudowny zwrot w życiu bezrobotnego nędzarza

Z Berna na Morawach donoszą o niezwykłem przeobrażeniu się bezrobotnego nędzarza w miljonera dzięki wydarzeniu, które wygląda jak sensacja, fantastyczna nowela. Pozbawiony pracy robotnik Antoni S. w Bernie, skazany był na skrajną nędzę. Wówczas przypomniał sobie, że gdy był małym chłopcem, ojczym jego wywędrował do Anglji, i od tego czasu wszelki słuch o nim zaginął. Ogólnie przypuszczano, że emigrant umarł na obczyźnie. Antoni S. zaryzykował jednak list do ojczyma, prosząc go o wsparcie. Po kilku tygodniach otrzymał zwrot listu ze spodziewaną uwagą, że adresat już dawno nie żyje. Na kopercie dopisana była wskazówka, aby udać się do czechosłowackiego konsulatu w Londynie, który udzieli bliższych informacyj.

Tak też uczynił Antoni S. Znowu minęło kilka tygodni. Onegdaj nadeszła odpowiedź od konsulatu w Londynie, która przeszła najśmielsze oczekiwania biedaka. Okazało się, że jego ojczym zmarł w r. 1931 jako miljoner i zapisał w swoim testamencie 30 tys. funtów swemu pasierbowi.

Kobieta piękna może być wierną żoną

Londyński sędzia Crawford rozpatrując pewną sprawę rozwodową pięknej kobiety, na zakończenie rozprawy wygłosił następującą sensację:

„Naogół piękne kobiety są podatniejszym materjałem do niewierności w małżeństwie".

Tem pytaniem zajęło się poważnie jedno z londyńskich pism codziennych, popularny „Daily Mail". Rozpisano ankietę na temat: „Czy polecać piękną dziewczynę za żonę".

Pierwsza odpowiedziała na to drażliwe pytanie kobieta, uchodząca za najpiękniejszą w Anglji lady Laverley. „Nie można tej sprawy uogólniać — Przedewszystkiem, należy stwierdzić, że nie koniecznie jest narażona na największe pokusy. Sama znam wiele kobiet brzydkich, a cieszących się olbrzymiem powodzeniem. Nie każda ładna kobieta jest złą żoną i spewnością nie każda zła żona jest ładną kobietą.

„Istnieje dalej wiele kobiet, mających wielkie powodzenie, u mężczyzn nawet lubiących flirtować, a jednocześnie będących dobremi i cnotliwemi żonami.

Sfotografowane serce kochające

Lekarz może stwierdzić czy serce kocha

Przemysłowiec amerykański K. Snowson spędzał ze swą córką Mary wiosenne wywczasy na Riwierze francuskiej. Po paru tygodniach pobytu ojciec zauważył, że córka traci apetyt, coraz mniej mówi i jest coraz bledsza.

Udał się więc z nią do lekarza, znanego psychologa. Ten zbadał dokładnie dziewczynę i prześwietlił jej serce.

Gdy Amerykanin przyszedł na trzeci dzień po wynik badania, lekarz oświadczył mu z uśmiechem że jego córka jest zupełnie zdrowa, tylko bardzo mocno zakochana.

Na pytanie jak można na fotografji roentgenowskiej poznać miłość odrzekł psycholog, że stan podniecenia miłosnego powoduje szybsze pulsowanie krwi, a stąd pochodzi osłabienie i brak apetytu.

Wskutek anormalnego obiegu krwi wciska się ona w szybszem tempie do serca, wskutek czego serce każdego zakochanego człowieka, przejściowo rozszerza się. A to widać dokładnie na fotografji.

Lekarz pocieszył ojca, że każda córka przechodzi podobną przypadłość.

Drzewo, które rośnie 7000 lat

Chociaż drzewo to rośnie w ojczyźnie humbugu w Ameryce, wiek jego nie ma nic wspólnego z amerykańską kaczką dziennikarską. Już Aleksander Humboldt, wybitny przyrodnik i podróżnik zwrócił uwagę na drzewo z rodzaju cyprryśnik amerykański (Texodium mocronatum), jako na najstarsze drzewo na świecie. Wspaniały ten okaz rośnie w Oacsaca w Meksyku. Ma on średnicy pnia 50 stóp, czyli ponad 15 m. Długi czas trwał między uczonymi spór co do wieku tego niezwykłego drzewa, Wybitny botanik Adolf De Candolle obliczał swego czasu wiek tego drzewa na 600 lat. — Późniejsi uczeni twierdzili, że rośnie ono najwyżej 1500 lat czyli że starszemi od niego byłyby znane i słynne na cały świat drzewa mamutowe w Kalifornji. Badaczom przyszedł z pomocą przypadek. Nad miejscowością Oacsaca przeszła niedawno gwałtowna burza, która wyrwała z korzeniami szereg drzew, a najstarszemu drzewu świata odłamała jeden z olbrzymich konarów. Zajął się niem bliżej niemiecki uczony prof. Land i policzywszy dokładnie na odłamanym konarze słoje, roczne, czyli roczne przyrosty drzewa rozstrzygnął definitywnie spór o wiek olbrzyma, stwierdzają, że rośnie on z całą pewnością ponad 7000 lat. Co ciekawsze, że cypryśnik-starzec znajduje się w doskonałym stanie, to też rząd amerykański postanowił otoczyć go troskliwą opieką.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 7 czerwca 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.30 Transmisja nabożeństwa z Pl. Pofortecznego w Przemyślu z okazji Diecezjalnego Kongresu Eucharystycznego 12.15 Poranek muzyczny z Wilna 15.30 Koncert utworów Jakóba Puccini'ego 16.30 „Międzynarodowe Zawody Konne w Warszawie" — Puhar Narodów — Nagroda Polski' 17.00 „1000 taktów muzyki" 18.00 Słuchowisko oryginalne „Djabeł" w Teatrze Wyobraźni 18.30 Koncert w wyk. Wielkiej Orkiestry P.R. 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 Utwory na altówkę w wykonaniu M. Szaleskiego 22.20 Muzyka lekka i taneczna.

Poniedziałek, dnia 8 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert 16.00 Koncert z Ciechocinka 17.30 Recital śpiewaczy Konrada Żelechowskiego 19.30 „Międzynarodowe Zawody Konne" 20.00 Muzyka salonowa oraz piosenki w wyk. Lucyny Szczepańskiej 20.30 „Hejże na kajaki" — felieton 21.00 Koncert 22.15 „Wieczernyci" — audycja oparta na motywach ludowych ukraińskich 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 9 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Muzyka 12.30 Muzyka 16.00 Koncert w wyk. zespołu Wiktora Tychowskiego 16.45 „Skarby Polski" — „Malarstwo polskie" — odczyt 17.00 Koncert 19.00 Koncert rozrywkowy w wyk. Małej Orkiestry P.R. 20.30 „Poezja zapomnianego ludu" — szkic literacki 21.00 „Tajemnica symfonji niedokończonej" Schuberta — reportaż 22.00 Franciszek Schumann — Trio F-dur 22.40 Muzyka lekka i taneczna.

Środa, dnia 10 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Muzyka lekka z basenu w Ciechocinku 15.45 Wesoła audycja dla dzieci — ze Lwowa 16.15 Koncert 17.30 Recital śpiewaczy Tatjany Nolier-Mazurkiewiczowej 17.50 „Anegdoty z życia Grottgera" — pogadanka 19.00 Koncert w wyk. Orkiestry P.R. 20.00 „Mozajka muzyczna" 20.30 „Wędrówka mikrofonu po prowincji" 21.00 Pierwsza audycja z cyklu „Utwory Chopina w wykonaniu słynnych pianistów" 21.30 „Śmiech przez łzy" — audycja muzyczna 22.15 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 11 czerwca 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Katedry Św. Jana w Warszawie 12.03 Poranek muzyczny 13.20 Poranek muzyki operowej 14.30 Transmisja ze świetlicy Tow. Szkoły Ludowej we Lwowie 15.00 Transmisja z Sierocińca im. Marszałka Piłsudskiego z Warszawy — audycja dla dzieci. 15.15 Małe utwory wielkich mistrzów 16.00 Koncert z Ciechocinka 17.50 „Jak wykorzystać słońce i powietrze dla zdrowia dziecka" — pogad. 19.00 „Pozytywka" — orygin. komedyjka radjowa 19.30 Muzyka polska 21.00 „Nasze pieśni" — VII aud. z cyklu „Stanisław Moniuszko — pieśniarz" 21.30 Recital fortepianowy Stelli Dobryszyckiej 22.15 Koncert w wyk. Małej Ork. P.R. 22.50 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 12 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Utwory Mieczysława Karłowicza 16.00 Koncert 16.45 „Skarby Polski" — „Sztuka ludowa w Polsce" — odczyt 17.00 Melodje Suppe'go 19.00 Koncert kameralny 19.30 Polska Kapela Ludowa Feliksa Dzierżanowskiego 21.00 Koncert symfoniczny 22.15 Muzyka taneczna z Ciechocinka.

Sobota, dnia 13 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Muzyka lekka z Ciechocinka 14.30 Koncert 15.45 „Muzyka do nas przyszła" — W. Burzyńskiego, wesoła aud. dla dzieci 16.00 Koncert solistów 19.00 Muzyka lekka w wyk. Wileńskiej Orkiestry Kameralnej 19.45 Chór Dana śpiewa piosenki 20.15 Audycja dla Polaków zagranicą „Sztuka spod strzechy zdobywa Polskę" 21.00 Utwory skrzypcowe w wyk. St. Mikuszewskiego 21.30 „Sprzedam kamień" — humoreska radjowa w pięciu djalogach 22.15 Muzyka rozrywkowa 23.00 Muzyka taneczna z kawiarni „Cafe-Club".

Marja Wawrzyńczakówna.

Skutki podobieństwa

Humoreska.

Sołtys wsi Wyrwiszki, leżącej gdzieś na północno-wschodzie Polski, siedział już dwie godziny nad jakiemś papierem srodze zamyślony.

Nie bawił go rozkoszny kwik prosiąt bezceremonjalnie zwiedzających ogród z kwiatami, ani krzyk żony, wybijającej gwałtownie każde słowo na plecach parobka — miał przecież ważny problem do rozwiązania.

Od czasu do czasu pocierał szeroką dłonią spocone czoło, drapał się po łysinie i znów myślał... myślał...

— Że też człowiek taką godność piastując nie może sobie sam poradzić — szepnął do siebie z wyrzutem.

Znów rozłożył papier i zaczął już niewiadomo, który raz od początku czytać.

„Proszę o podanie analfabetów, znajdujących się we wsi „Wyrwiszki".

— Żeby to było dużo czasu, to bym się jeszcze zdążył spytać gdziekolwiek, co to za alfa... analfabeta, ale tu jak na złość spiesz się ciągle i spiesz, a o niczem nie zamyślaj.

A może moja Jagna słyszała gdzie takie dziwaczne słowo?

— Jaguś! — krzyknął niepewnym głosem.

Za parę sekund drzwi z łoskotem otwarły się i na progu stanęła kobieta czerwona jeszcze, jak upiór od gniewu.

— Nie słyszałaś ty czasem, żeby kto mówił kiedy słowo analfabet albo analfabeta? — zapytał patrząc na nią bystro.

— Nigdy w życiu... — odparła z nabożnem skrzyżowaniem rąk na piersi.

— Bo widzisz, duszko, dostałem psiakość rozkaz, żeby podać analfabetów i nie wiem, co to znaczy, kto może być analfabetą.

— Hm... a może sąsiedzi wiedzieliby hę? — zawołała nagle, uradowana niezwykłem odkryciem.

— Acha... sąsiedzi, rzetelną prawdę mówisz Jagna — pochlebił żonie.

Po długich naradach, sąsiedzi pokiwali jednak współczująco głowami, wyrazili swoją boleść z niemożności usłużenia sołtysowi i napowrót zajęli się swą pracą.

A sołtys w dalszym ciągu rozmyślał, w jaki sposób dojść do rozwiązania nieznośnej tajemnicy.

Są jednak ludzie, którzy podobno po dobrej kolacji i kieliszku podejrzanej mieszaniny odzyskują pozorną bystrość umysłu i zdolność konkretniejszego myślenia.

To też sołtys zjadł z podziwu godnym apetytem wszystko, co przed nim czuła małżonka postawiła, a potem na rachunek odgadnięcia tego niepospolitego słowa wypił coś i czekał, aż mu jaka błogosławiona myśl do głowy przyj dzie.

I przyszła... bo ostatecznie, dlaczegoż nie miała przyjść i osiąść pod spoconą czaszką niezwyczajnego sołtysa? Myśli przychodzą przecież człowiekowi do głowy poto tylko, żeby mu swą oryginalnością mniej lub więcej kłopotu zrobić.

Wstał raźno i z szuflady małego, chwiejącego się mebla, który dumnie miano „biurka" nosił, wyjął stos papierów i zaczął je z wielką niecierpliwością przerzucać. Kiedyś widział w jednym z listów słowo też zaczynające się od ana... zapytał wówczas kogoś o znaczenie i zaraz sobie zapisał.

— A może to nawet to same — słowo — wyrzekł z szerokim uśmiechem nadziei — zobaczymy.

Po długich poszukiwaniach, podniósł wreszcie z triumfem w górę świstek papieru, z którego przeczytał: anarchista, czyli człowiek występujący przeciwko państwu.

— A tom cię dostał, nicponiu — krzyknął rozradowany, nie powie już nikt, że sołtys z Wyrwiszek głupi jest — ho, ho - co za szczęście

Teraz, gdy już zdobył klucz do swej zagadki siadł przy biurku i pod słowem „anarchista" napisał bardzo wyraźnie „analfabeta".

— Ten sam początek i ten sam koniec — szepnął zadowolony, to też pewnie będzie to samo znaczenie.

— Jaguś! — krzyknął na żonę. Wiedziałś ludzie, kogo sołtysem obrać — powiedział dumnie do wchodzącej kobiety.

— Ja też sama miarkuję, że ty wcale nie głupi chłop, jakeś takie ciężkie słowo zrozumiał — odrzekła z podziwem, kręcąc głową.

Po chwili żona wyszła, a on zaczął się głęboko zastanawiać, kto zasługuje na nazwę anarchisty, czyli analfabety.

Ktoby tu występował przeciwko państwu? Acha... są takie osoby, chociaż nic pewnego nie można mówić, bo niewiadomo, czy spiskują, ale czasem — kto wie, czy za niewinnemi kolacyjkami i pokerem nie kryje się coś innego, bardzo niebezpiecznego dla państwa? Mnie to już nic nie obchodzi, ja mam tylko zrobić to co mi rozkazano. A służba służbą, nie można niczego ukrywać. niech władza wyższa sama sobie robi dochodzenia, czy to jest rzetelna prawda — powiedział głośno z wymownym gestem.

Zbliżył się już czas wysłania sprawozdania, dość długo zwlekał z odpowiedzią, a jako gorliwy urzędnik, chciał pracę wykonywać sumiennie.

Zabrał się też zaraz do pisania.

Z pod skrzypiącego pióra zaczęły z wielkim mozołem wysuwać się słowa, które po ukończeniu z zadowoleniem przeczytał:

„Ja sołtys z Wyrwiszek donoszę uprzejmie, że we wsi mojej jest kilku analfabetów. Są nimi: dziedzic Wyrwiszyński, ks. prob. Zarzycki, nauczyciel Dobicki i organista Sójka".

Teraz sołtys odetchnął z prawdziwą ulgą, rozwiązał wreszcie trudną zagadkę, która mu kilka długich dni zajęła.

Oto jedno ze śmiesznych nieporozumień, wywołanych prawdopodobnie tylko podobieństwem początku i końca dwóch niewinnych wyrazów.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 91)

Anielcia wzdrygnęła się, słysząc te słowa młodej, pięknej kobiety.

„Boże", zawołała, „sądzisz więc, że stan Kazimierza może się pogorszyć?"

„Jestem przekonaną o tem," odparła stanowczo Lola, „spoglądałaś tylko w jego oczy i wsłuchiwałaś się w niedorzeczne słowa, które wymawiał w gorączce, ja jednak trzymałam jego rękę, licząc uderzenia pulsu. Anielciu, muszę ci powiedzieć otwarcie, że Kazimierz umrze przed wschodem słońca, jeżeli nie będziemy działać energicznie."

Anielcia nie mogła wymówić ani jednego słowa; złożyła ręce na piersi i patrzyła bezmyślnie na Lolę.

„Kazimierz nie powinien umrzeć," zawołała nagle Anielcia, „musi zostać z nami!"

„Z nami?" przerwała Lola z ironją, której Anielcia nawet nie zauważyła, „chciałaś powiedzieć, by został przy tobie! Wiesz o tem dobrze, że chcę wyratować tylko Kazimierza od pewnej śmierci. Nie mówmy jednak o sobie; obecnie trzeba myśleć o poważniejszych rzeczach. — — Obydwie jesteśmy tego zdania, że Kazimierza trzeba wyratować za każdą cenę!"

„Tak jest, za każdą cenę!" odparła jak echo Anielcia.

„Nie możemy więc czekać, aż przyjdzie pomoc lekarska ze Santa Fee; kto wie jak długo to jeszcze potrwa; mam inny plan!"

„O, wyjaw mi go, Lolu!"

„Niedaleko stąd," mówiła Lola stłumionym głosem, „żyje w puszczy stary strzelec; zwykle poluje na różne zwierzęta i sprzedaje potem skóry na futra. Zbiera także zioła i zaopatruje niemi wszystkie apteki w Santa Fee.

„Ten stary myśliwy, — nazywa się Bill, — miał w swojej młodości widocznie inne zajęcie aniżeli teraz, i podejrzewam go, że studjował nawet medycynę. Stary Bill zna różne środki na rany; niejednego wyratował już od pewnej śmierci.

„Może się nam uda sprowadzić tutaj starego Billa, który pomoże prędzej Kazimierzowi, aniżeli wszyscy lekarze ze Santa Fee.

„Dlatego trzeba go zaraz zawołać i zawiadomić, że na stacji czekają na jego pomoc!

„Pytanie tylko, która z nas ma iść go zawiadomić?"

„Ty, — z tego prostego powodu, ponieważ znasz drogę i wiesz dokładnie, gdzie go trzeba szukać."

„Słusznie," rzekła piękna, ciemnowłosa kobieta, a mały uśmiech zaigrał na jej wargach, „znam chatę starego Billa i najkrótszą drogę, która do niej prowadzi, nie zapominaj jednak, Anielciu, że mi nie wolno opuszczać stacji. Zajmuję miejsce przy kolei Pacific. Opuściwszy stację, straciłabym nietylko moje miejsce, lecz naraziłabym się także na więzienie, gdyż przepisy kolejowe nie znają w tym punkcie żadnej litości. Pojmujesz więc, że się nie mogę oddalić z domu."

„Pojmuję", rzekła Anielcia, „nie pozostaje więc nic innego, jak tylko bym sama pobiegła do chaty strzelca."

„Ah, od tego zależy życie Kazimierza! Anielciu, zrób mi tę przysługę!"

„Naturalnie," odparła Anielcia, „bądź spokojną, Lolu, poświęciłabym moje życie za niego. Lolu, słyszałaś, jak wymówił moje nazwisko? Śnił o naszym ślubie i spoglądał na mnie tak słodko!"

„Dosyć," przerwała niecierpliwie Lola, „będziecie szczęśliwi, lecz wasze szczęście zależy od życia Kazimierza."

„Masz słuszność, że mnie budzisz z moich marzeń. Tak, on musi żyć i dlatego pobiegnę do starego Billa, ile tylko mi sił starczy."

„Dobrze; słuchaj, opiszę ci drogę," zawołała Lola, „choć ze mną na pole."

Przed stacją wskazała Lola ręką w stronę toru, idącego do Santa Fee.

„Pójdziesz pół godziny," mówiła, „ciągle prosto, następnie zobaczysz duże drzewo, które nie przeoczysz z powodu niezwykłych rozmiarów. Rozpoznasz je najprędziej po rysach, które wypalił piorun. Koło tego drzewa skręć do lasu i idź ciągle w kierunku północnym. Nagle zobaczysz skałę; obejdź ją na lewo i zobaczysz przed sobą chatę starego Billa, która jest zbudowana jak wszystkie tutejsze drewniane domy."

„Czy zastanę strzelca w domu?" zapytała Anielcia, „tego rodzaju ludzie polują zwykle w nocy."

„Stary Bill będzie dzisiaj napewno w domu," odparła Lola, „ponieważ w ostatnich dniach był chory i nie wychodził wcale na polowanie. W każdym razie trzeba spróbować; pojmujesz to? Dlatego nie trać czasu i idź do strzelca!"

„Idę", odparła Anielcia, „chcę tylko jeszcze raz zobaczyć ukochanego Kazimierza."

Anielcia wbiegła do pokoju, pochyliła się nad Kazimierzem i pocałowała go w czoło.

„Żegnaj, Kazimierzu", szepnęła cicho, żegnam się z tobą tylko na krótki czas. Przyprowadzę lekarza, który ci wróci życie. — Zachowaj mój obraz w twojej duszy. Gdy otworzysz oczy, Anielcia będzie znowu przy tobie. Żegnaj, żegnaj!"

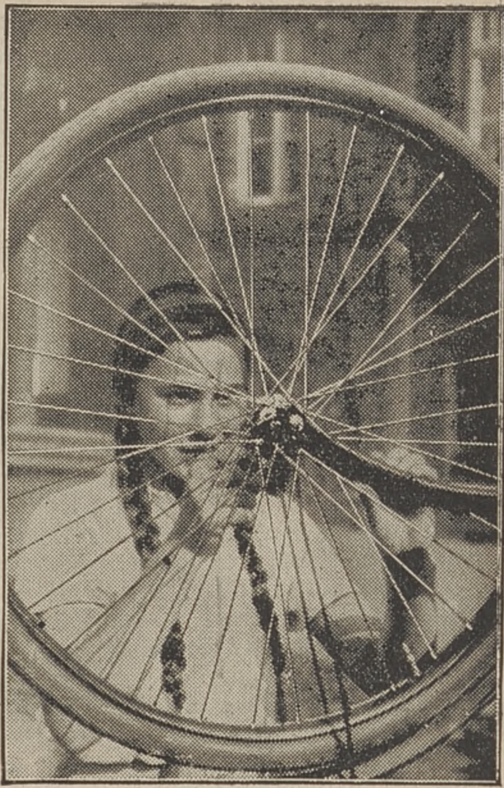
CXLIII.
W pułapce

Lola opisała biednej dziewczynie jeszcze raz drogę, poczem Anielcia zniknęła w ciemnościach nocy.

Kierowała się wskazówkami Loli i szła wzdłuż szyn; oglądała się na wszystkie strony, czy nie zobaczy owego dużego buka.

Myślała o słowach, które wymówił Kazimierz w nieprzytomnym stanie, a które napełniły jej serce bezgraniczną radością.

Nie, to było jasne; Kazimierz przyjechał do Ameryki po Anielcię. Widocznie przekonał się, że jej wyrządził wielką krzywdę. Wreszcie wyszła na jaw niewinność biednej ofiary. Teraz nie rozłączą ich żadne losy.



Ostatnie badawcze spojrzenie na stalowego rumaka przed wyjazdem w „nieznane".

Anielcia modliła się gorąco do Boga, by ją zaprowadził szczęśliwie do chaty starego Billa.

Lola oceniła widocznie za nisko tę drogę, gdyż już minęła godzina, a owego drzewa nie było jeszcze widać. A może szła za powoli?

Anielcia przyspieszyła kroku.

Wreszcie stanęła przed upragnionem drzewem. Był to wysoki buk, rozłupany na dwie części, które wyrastały ze wspólnych korzeni.

Teraz, — musi wejść do lasu. Przed nią czerni się ponury, milczący las, pełen dzikich zwierząt. Anielcia nie zawahała się ani jednej chwili, nawet gdyby wiedziała, że ją rozszarpią głodne bestje. Przed nią stał ciągle obraz Kazimierza, oczekującego pomocy.

Anielcia weszła odważnie do lasu. Kroczyła ciągle naprzód, gdyż w jej duszy brzmiało imię Kazimierza.

Podług obliczenia Anielci, minęły przynajmniej dwie godziny, jak opuściła drewnianą stację. Niestety dotychczas nie było jeszcze widać tej skały, za którą leżała chata starego strzelca.

Anielcia obawiała się, czy nie zmyliła drogi, co nie byłoby zresztą zbyt wielkim cudem, ponieważ w lesie panowała nieprzenikniona ciemność. Jedyną wskazówką była dla niej gwiazda polarna, świecąca na stropie niebieskim.

Nagle wyłoniła się skała. Anielcia cieszyła się jak dziecko, gdyż za kilka minut dojdzie do chaty Billa.

Układała sobie w myśli całe zdania, które wypowie przed strzelcem, byle tylko go namówić do udania się na stację kolei Pacific. Stary strzelec obierze zapewne krótszą drogę, skutkiem czego powrót nie zabierze tyle czasu.

„Tak, Lola ma rację," — rzekła Anielcia, „szybka pomoc jest konieczna. Zanim ze Santa Fee przyjadą lekarze, upłynie jeszcze dużo godzin, a życie Kazimierza wisi tylko na włosku."

Biegła więc naprzód i szukała o-

czyma chaty Billa; po chwili zobaczyła jakąś ludzką budowlę, nie wyglądającą jednak wcale na mieszkanie człowieka.

Lecz Anielcia wiedziała, że stary myśliwy żyje zupełnie pojedyńczo, nie wątpiła więc, że znajdzie w środku Billa.

Teraz była oddalona o jakieś dwadzieścia kroków od małej chaty i ledwie mogła się doczekać, gdy zapuka do drzwi.

Tymczasem wołała głośno:

„Billl, — stary Billu, — otwórzcie. — Na Boga, — otwórzcie drzwi, ciężko chory potrzebuje waszej pomocy!"

Stary Bill widocznie spał dobrze, gdyż się nikt nie odzywał; drzwi chaty były zamknięte, a z za okiennic nie wydostawał się ani jeden promień światła.

„Muszę go zbudzić," pocieszała się Anielcia. „Głos miłości i troski zbudzi go z najgłębszego snu!"

O dziesięć kroków leżała przed nią chata. Zdawało się, że potrzebuje tylko wyciągnąć rękę i zapukać do drzwi.

„Otwórzcie! — Poczciwy stary człowieku, wysłuchajcie mojej prośby! — Święty Boże, co to znaczy?"

Anielcia cofnęła się wstecz z przeraźliwym okrzykiem. Przeszła minuta, a Anielcia stała ciągle nieruchomo, nie mogąc wydobyć z ust ani jednego słowa.

„Co się ze mną stało? zawołała Anielcia, starając się uśmiechem poskromić przerażenie. „Jakaś niewidzialna siła trzymała mnie przy ziemi. To nie jest żadne zwierzę, — ściska moje nogi jak wąż; nie mogę się ruszyć z miejsca!"

Chciała iść do chaty, lecz nogi trzymały ją na jednem miejscu.

„Nie, to nie jest zwierzę," mówiła Anielcia, odzyskawszy dawną odwagę, „ani łapa, ani pazury nie trzymają mnie za nogi. Czuję tylko żelazny uścisk, sięgający aż do kolan. Muszę zobaczyć, co się stało!"

Pochyliła się, podniosła sukienkę i zauważyła nieszczęście, które ją spotkało.

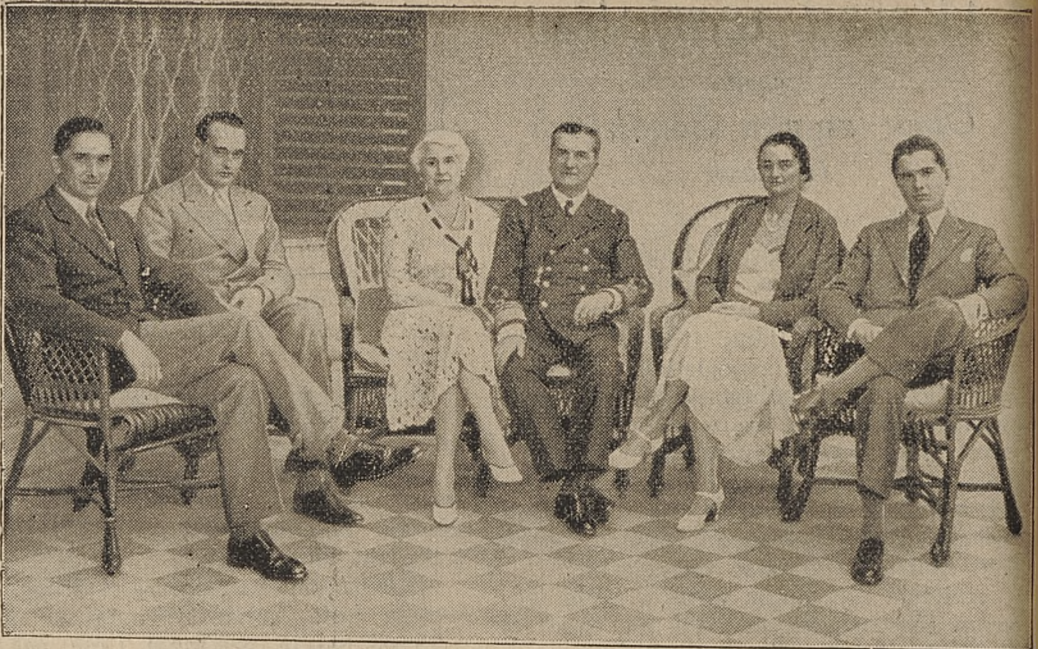
Za lewą nogę trzymał ją dziwny instrument, składający się ze żelaznych obręczy, które zamknęły silnie nogę.

Wprawdzie Anielcia nie znała zwyczajów amerykańskich strzelców, domyśliła się jednak, że wpadła w żelazny zatrzask, który nastawił strzelec na lisy, albo inne jakie zwierzęta.

Żelazo było przymocowane w ziemi; żelazne obręcze otaczały spiralnie nogę. Prawdopodobnie zamknęły się w tej samej chwili, kiedy Anielcia poruszyła nogą kółko.

Anielcia wołała głośno o pomoc. Prosiła Billa i zaklinała go na wszystko, by wyszedł z domu i uwolnił ją z pułapki. Lecz drzwi były ciągle zamknięte, nikt się nie pokazywał, w domu Billa panowała śmiertelna cisza, a biedna dziewczyna przekonywała się coraz bardziej, że strzelca nie było w domu.

O, dlaczego nie powiedziała jej Lola, że koło domu są nastawione sidła na lisy? Lecz może sama o tem nie wiedziała; inaczej zwróciłaby przecież jej uwagę na to niebezpieczeństwo.



Fotografja nasza przedstawia węgierskiego regenta Horty'ego w otoczeniu najbliższej rodziny, podczas wypoczynkowych wakacji.

Anielcia poczęła walczyć z żelaznym nieprzyjacielem, przekonała się jednak wkrótce, że jej siły są za słabe na otworzenie pułapki. Prędzej wyrwałaby nogi z ciała, aniżeli żelazo tkwiące głęboko w ziemi. Również dobrze mogłaby spróbować wyrwać drzewo. Może udałoby się jej to łatwiej, aniżeli otwarcie zatrzasku.

Nie, po bolesnych usiłowaniach, które trwały przeszło pół godziny, zrezygnowała wreszcie Anielcia i nie pozostało jej nic innego, jak się pogodzić ze swoją niewolą i podstępnym nieprzyjacielem, ukrytym w leśnej trawie.

„Wola Boża", zawołała Anielcia, „siedzę bezczynnie, podczas gdy mój ukochany Kazimierz oczekuje napróżno pomocy! — O, za jakie grzechy karzesz mnie, Boże! — Panie w niebiesiech, ratuj mnie, bym mogła pospieszyć z pomocą."

Dokoła panowała cisza. — Las i chata, w której mieszkał podobno stary Bill, okryły się tajemniczem milczeniem. Mijały godziny jak fale w morzu, czas przechodził z zatrważającą szybkością, a znikąd nie było widać ratunku.

Noc przeszła, na niebie pokazały się pierwsze blaski, a jutrzenka zwiastowała narodziny nowego dnia.

Anielcia, wypocząwszy nieco, starała się jeszcze raz uwolnić z żelaznych sideł. Targała zatrzaskiem na wszystkie strony, perlisty pot spadał jej z czoła, — napróżno, lisia pułapka była bezlitosna.

Brzask dzienny miał w sobie coś nieprzyjemnego; drzewa i krzewy tonęły w dziwnych cieniach, mgły unosiły się nad lasem, przybierając fantastyczne formy i postacie, a nieszczęśliwa leżąca na trawie skąpanej rosą, mogła zaledwie się poruszyć.

W duszy Anielci żyła jeszcze jedyna nadzieja. Gdy stary Bill wróci z polowania, wówczas skończy się także i jej niewola.

Dlaczego tylko nie wracał stary strzelec do swojej chaty, ukrytej w leśnej gęstwinie?

Ach, Anielcia dałaby wszystko, gdyby teraz posłyszała ludzkie kroki, lub głos człowieka!

Lecz dookoła panowała śmiertelna cisza.

W lesie zrobiło się jasno, lecz słońce nie przedarło jeszcze chmur. Anielcia spojrzała w górę i obserwowała mały kawałeczek nieba, który się bielił nad koronami prastarych drzew.

Odwróciła oczy od tego smutnego widoku i spojrzała znowu na chatę. Myślała o Kazimierzu, zajmowała się jego losem; przedstawiała sobie trwogę Loli, która czekała zapewne niecierpliwie na jej powrót.

Co myśli Lola, jak tłumaczy sobie jej nieobecność? A Kazimierz, — ach, jeżeli obudził się teraz, to zapyta i wymówi jej imię, a Lola nie odpowie, nie, i nie da mu żadnej odpowiedzi, gdzie się podziała Anielcia.

Anielcia podniosła się, rzuciła okiem na chatę, zdawało się jej bowiem, że się drzwi poruszyły.

Nie, nie, to było złudzenie! W chacie nie było żadnej ludzkiej istoty. Gdyby tam ktoś mieszkał, to byłby posłyszał jej wołanie o pomoc.

Święty Boże, — nie, nie myliła się, drzwi poruszyły się znowu, otwierały się coraz bardziej, teraz, — z przerażenia padła na ziemię, — a w następnej chwili —

Przeraźliwy okrzyk obił się głucho po lesie, okrzyk, niepodobny wcale do ludzkiego głosu. Anielcia cofnęła się z przestrachem, — we drzwiach stał nie stary Bill, strzelec, którego się spodziewała, lecz — — —

Anielcia leżała nieruchomo na trawie; tylko jej szklane oczy, w których malowała się trwoga i obłąkanie, spoczywały badawczo na małej chacie strzelca.

— — — — — — —

Nad ranem przyjechał do stacji pod numerem 97 nadzwyczajny pociąg, który wysłano natychmiast ze Santa Fee po otrzymaniu depeszy od Loli, zawiadamiającej krótką wzmiankę o katastrofie kurjera.

Nadzwyczajny pociąg przywiózł różne rzeczy, potrzebne do walki ze skutkami katastrofy. Przedewszystkiem wysłano czterech lekarzy z odpowiednią ilością bandaży i z artykułami do pielęgnowania chorych.

W pociągu przyjechali także robotnicy, przeznaczeni do usunięcia resztek kurjera i do naprawienia toru kolei żelaznej, który był znacznie uszkodzony z powodu strasznej katastrofy.

Między personelem był także i Niklas Dombey. — Usłyszawszy w Santa Fee wiadomość, że pociąg pospieszny został wysadzony w powietrze tuż koło jego stacji, pospieszył natychmiast do zarządu kolei i ofiarował swoje usługi. Obawiał się, czy jego nowy asystent nie stał się przyczyną katastrofy. Może Lola odbyła niedbale rewizję toru! Gdy nadzwyczajny pociąg zatrzymał się przy jego stacji, wyskoczył pierwszy z wagonu i pobiegł do drewnianego domku.

Za nim wysiedli lekarze, spiesząc z pomocą dla jedynego pasażera, który wyszedł z życiem ze strasznej katastrofy.

Niklas Dombey zastał ku swemu zdziwieniu przymknięte drzwi.

Otworzył je uderzeniem nogi i wpadł z lekarzami do środka.

W biurze nie było nikogo; w drugim pokoju wskazywał ogólny nieład, że tutaj leżał ciężko chory. W łóżku znaleziono wyraźne zagłębienie, spowodowane ciężarem ciała.

Lecz gdzie się podział pasażer pospiesznego pociągu? O własnych siłach nie mógł przecież opuścić stacji! Gdzie była Lola? Kto zatelefonował po lekarzy?

Nigdzie nie można było odkryć śladów. Dopiero po pewnym czasie znalazł Niklas Dombey na stole, na którym stał aparat, małą kartkę, zawierającą treść:

„Hrabia Kazimierz Zamski, jedyny pasażer, — który przeżył katastrofę kurjera, umarł przed chwilą. Poniekąd jestem sama winna i dlatego odbieram sobie życie. Zwłoki wezmę ze sobą i rzucę się z niemi do przepaści koło krzyża. Nie szukajcie naszych trupów. Wiadomo wam zapewne, że przepaść nie oddaje swoich ofiar. Niech się Bóg zlituje nad naszemi duszami! Lola."

CXLIV.

Zabójcze śniadanie

Opowiadają, że gdy na królika spojrzy wąż swoim strasznym wzrokiem, to biedne zwierzę nie może uciekać, ponieważ jest zahypnotyzowane bazyliszkowem okiem. Pada ofiarą węża i nie jest wstanie ruszyć się z miejsca.

Nie wiemy, czy to twierdzenie zgadza się z wiedzą medyka lub badacza natury, tyle tylko możemy powiedzieć, że Anielcia znajdowała się w podobnem położeniu jak królik.

Oczy, patrzące na nią, były podobne do wzroku węża a człowiek, którego nagle zobaczyła, był jej tak znienawidzony jak jadowita żmija. Nieszczęśliwa dziewczyna wolałaby widzieć przed sobą żądło węża, aniżeli tego człowieka, zbliżającego się do niej wolnym krokiem.



Następca tronu rumuńskiego, książę Michał, odbiera już wojskowe wyszkolenie, pod czujnem okiem swych wychowawców. Widzimy go na zdjęciu podczas ćwiczeń w strzelaniu.

Był to — doktor Morizano.

Wprawdzie siwy przestępca zmienił swój wygląd, odkąd bawił w zachodniej Ameryce, jednak Anielcia poznała go na pierwszy rzut oka. Ta szatańska twarz wryła się jej głęboko w pamięć!

Doktor Morizano poznał także Anielcię!

„Do djabła!" zawołał doktor Morizano, zbliżając się ku młodej, pięknej dziewczynie, „zrobiliśmy wspaniały połów. To urocza Anielcia, moja młoda przyjaciółka, która narobiła mi tyle kłopotów. — Ha, Alfredzie Robberze, — Alfredzie, — gdzie jesteś, — wstawaj, ponieważ w najpiękniejszym śnie nie zobaczysz czegoś podobnego, na co ja obecnie patrzę!"

W chacie dało się słyszeć głośne ziewanie, poczem obok Morizano pojawił się drugi mężczyzna, — który był jej również znienawidzony jak lekarz dla umysłowo - chorych — Alfred Robber.

„Do djabła!" odparł rudowłosy bandyta na widok młodej dziewczyny, „to jest prawdzie szczęście! Haha, jak widzę, wpadła w sidła. To było mądrze obmyślane, żeśmy po wykolejeniu kurjera schronili się do tej chaty. Teraz nie będziemy się nudzić w tej podłej budzie. Niech mnie djabli wezmą, jeżeli to spotkanie nie jest moją najprzyjemniejszą przygodą w puszczy."

Anielcia podniosła się, próbując jeszcze raz wydobyć się z pułapki; lecz wszystkie wysiłki na nic się nie zdały. Mężczyźni przyskoczyli do niej i pochwycili ją za ręce.

„Patrz, Morizano, z jaką wściekłością patrzy na nas," zaśmiał się Robber, „jak się świecą jej oczy! Och, te oczy mogłyby zabić! Chwała Bogu, że zwrok ów nie jest dynamitowym patronem. Piękna Anielciu, zgrzytaj tylko twoimi ząbkami! Tą razą dostałaś się w nasze ręce i nie uciekniesz tak łatwo."

Alfred Robber pochylił się nad dziewczyną i uwolnił ją jednym ruchem ręki ze sideł.

Anielcia zatoczyła się i byłaby upadła na ziemię, gdyby ją nie podtrzymał Robber.

„Prawda, gołąbko, jak się tutaj dobrze leży?" zaśmiał się cynicznie rudy bandyta, obrzucając Anielcię złośliwem spojrzeniem, „bądź cierpliwą, nie oszczędzimy ci tej rozkoszy. Zawsze podobałaś się Alfredowi Robberowi, zresztą w puszkowiu niema dużego wyboru. Nawet gdybyś była brzydką, to bym się jeszcze skusił na twoje wdzięki. Chodź z nami do chaty, wprawdzie to przeklęta dziura, ale ludzie tego rodzaju co Morizano i Robber nie wymagają komfortu. Przynajmniej znajdujemy się w bezpiecznem miejscu, gdzie nas nikt nie będzie szukać!"

Siły Anielci były złamane. Fizyczny ból, moralne troski, straszna świadomość, że się dostała w ręce ludzi, nieznających litości ani łaski, troska o Kazimierza, który leżał zapewne na stacji bez pomocy, wszystko to wywarło na Anielcię ogólną depresję, tak, że nie mogła wymówić ani jednego słowa.

Powiodła bezmyślnym wzrokiem po ścianach chaty, w którą ją wprowadził Alfred Robber i doktor Morizano.

Chata była zbudowana z nieociosanego drzewa; całe urządzenie składało się ze stołu, dwóch ławek i kotła, pod którym się palił potężny ogień. Niegdyś mieszkał tutaj stary Bill, lecz obecnie rozgościli się w chacie dwaj łotrzy.

Anielcia upadła bezwładnie na ławkę i pomimo niebezpieczeństwa, które jej groziło od Robbera, zamknęła oczy i popadła w głęboki sen.

„Śpi," rzekł Robber, spoglądając namiętnie na piękną dziewczynę, „zostawmy ją w spokoju, niech sobie odpocznie, poczem urządzimy ucztę weselną."

„Mój przyjacielu Robberze," odparł Morizano, zapaliwszy krótką fajeczkę, „jak widzę, znajdujesz się w błędzie. Mówisz zawsze, jakby ta dziewczyna należała tylko do ciebie, a przecież ją ją odkryłem i dlatego należy mi się przedewszystkiem zapłata. Drogi chłopcze, podzielimy się dziewczyną, to jest: ani

do mnie, ani do ciebie, nie będzie należeć piękna Anielcia.

„A do kogo?“ zawołał Robber, „a dlaczego nie, jeżeli mogę zapytać?“

„Musimy zrobić z tą dziewczyną jaki dobry interes,“ odparł doktor Morizano. „Pasażerowie wysadzonego w powietrze pociągu nie mieli przy sobie dużo pieniędzy. Obaj mamy pustki w kieszeni. Dlatego musimy się postarać o głupią mamonę, która należy bezwarunkowo do doczesnego szczęścia!“

„Mądrze mówisz,“ zauważył Robber, zapalając cygaro, „lecz do djabła, w jaki sposób spieniężymy tę dziewczynę?“

Morizano milczał przez chwilę i spoglądał na dym wychodzący z fajki. Widocznie zajmowały go ważne myśli, gdyż na jego wargach pojawił się ironiczny uśmiech.

„Myślę,“ rzekł po chwili, „byśmy przedewszystkiem zjedli śniadanie; jestem głodny jak wilk. Odkąd opuściliśmy Santa Fee, nie miałem nic w moim żołądku. — Alfredzie, przygotuj nam jakie śniadanie.“

„Znalazłem zapasy żywności,“ odparł Alfred Robber i przystąpił do ognia, „stary Bill, mieszkający w tej chacie, zostawił puszkę kawy i całą szufladę sucharów. Wprawdzie to kiepskie śniadanie, ale dzisiaj musimy się już tem zadowolić; jutro będzie lepiej!“

„Kto wie,“ zawołał Morizano, „kto wie, Alfredzie, czyby nie lepiej było, pozostać jakiś czas w tej chacie? Nasz zamach na kolej Pacific wywołał wielką wrzawę, i jestem przekonany, że w tej chwili poszukuje nas cała sfora detektywów. Zresztą Amerykanie mają gorącą krew i prawdopodobnie sami biorą udział w polowaniu. Gotuj śniadanie, a ja tymczasem wyjawię ci mój plan, w jaki sposób przyjdziemy do pieniędzy. Ta dziewczyna wyratuje nas z tego położenia.“

„Bardzom ciekawy,“ odparł Robber, „przyjacielu Morizano, wyłuszcz mi twój plan, a ja zgotuję ci za to wyśmienitą kawę. Jak widzę, to Bill ma tutaj różne naczynia.“

Równocześnie zdjął płócienną zasłonę z półki, na której stały garnki i miski.

Alfred Robber, widząc tyle naczyń, zapytał, co się mogło stać ze starym Billem?

„Może umarł,“ odparł doktor Morizano, „już w Santa Fee opowiadano nam o tym starym błaźnie, który przepędził w tej puszczy prawie czterdzieści lat swojego życia. Może dostał udar serca, a ciało jego gnije teraz pod jakiemś drzewem w amerykańskim lesie. Zresztą jest to nam zupełnie obojętne, co się z nim stało; chwilowo objęliśmy jego spadek i bądźmy z tego zadowoleni. Zostawił nam przynajmniej dom, który nas ochroni przed deszczem i przed napaścią. Dzięki Bogu, znaleźliśmy także szczupłe zapasy żywności. Popełniliśmy duże głupstwo, żeśmy w Santa Fee nie zaopatrzyli się w jedzenie. Tutaj w puszczy niema piekarzy ani rzeźników, i ciężko nam będzie postarać się o konieczne zapasy.“

Alfred rzekł, wzruszając ramionami: „Codziennie możemy mieć świeże mięso, którego nam dostarczy moja strzelba. Co się zaś dotyczy reszty, — to raz wybiorę się do Santa Fee i zakupię najpotrzebniejsze rzeczy.“

Alfred Robber wyjął mieloną kawę z blaszanej puszki, wysypał ją do imbryka i zalał gorącą wodą.

Całe wnętrze chaty napełniło się aromatycznym zapachem kawy, który tak drażniąco działa na ludzi.

„Ależ to przyjemnie pachnie,“ zawołał Morizano, wyciągając się na ławce, „cieszę się na filiżankę kawy. — Chciałeś więc wiedzieć, co zrobimy z tą dziewczyną? Alfredzie, popatrz, czy śpi!

Rudowłosy bandyta zbliżył się do ławki, na której spała piękna, młoda dziewczyna. Pochylił się nad nią i szepnął do swojego towarzysza:

„Śpi, — możesz śmiało mówić.“

„Dobrze, mój przyjacielu Robberze,“ rzekł Morizano, „w krótkości muszę ci oznajmić, że musisz wybić sobie z głowy tę dziewczynę. Jak długo żyję, nie śmiesz jej dotknąć, gdyż nasz towar straciłby przez to na wartości. Przeciwnie musimy się z nią nadzwyczaj grzecznie obchodzić i pozyskać jej zaufanie.“

„Poco to wszystko?“ zapytał Robber, „nie rozumię cię, doktorze!“

„Zaraz mnie zrozumiesz, gdy ci powiem, że dziewczyna między braćmi warta jest miljon marek.“

„Miljon marek! Oszalałeś na starość, doktorze Morizano?“

„Przeciwnie, jestem mądrzejszy od ciebie, gdyż gdybym był tobą, to ta dziewczyna dałaby mi może jedną przyjemną godzinę; lecz ja zarobię na niej majątek!“

„Mówisz serjo,“ syknął chciwie Robber, wyjmując cygaro z ust drżącą ręką, „sądzisz, że — —“

„Przyniesie nam okrągły miljon; zapewniam cię na nasze łotrowskie słowo honoru!“

„Hahaha, dziękuję. Lecz w jaki sposób dostaniesz miljon za tę dziewczynę? Wprawdzie jest piękna jak anioł, — lecz mimo tego, wątpię bardzo, czy nam kto zapłaci taką sumę, gdybyśmy ją rzeczywiście chcieli sprzedać.“

„Głupiś! — Istnieje jeden mężczyzna, który nam wypłaci natychmiast żądaną kwotę!“

„Kochanek?“ szepnął Alfred Robber, „może myślisz o Kazimierzu Zamskim?“

„Zamski? — Przecież wysłaliśmy go na drugi świat, więc niema o nim co mówić! Niech się Bóg zlituje nad jego duszą,“ zaśmiał się doktor Morizano. „Nie, mój chłopcze, takiej sumy nie zapłaci żaden kochanek. Jeden tylko jest w stanie to uczynić, — jej ojciec!“

Alfred Robber przyskoczył nagle do doktora, usiadł obok niego na ławce i położył mu rękę na prawem ramieniu.

„Morizano,“ szepnął Robber z zachwytem, „jesteś wspaniałym człowiekiem. — Doktorze, kto ci poddał tę myśl? Najprzebieglejszy djabeł z piekła, nadworny adwokat jego czartowskiej mości, nie wymyśliłby coś lepszego. Wydamy Anielcię ojcu, — hahaha, daruj, ale pęknę ze śmiechu; my dwaj szubrawcy, mamy grać teraz rolę anioła i połączyć ojca z córką? — Hahaha, to byłoby wprost ironją losu, mistrzowską sztuką, jakiej drugiej nie znajdziesz tak prędko na świecie. Urząd patentowy na łotrowskie sztuki, nie widział nigdy takiej genjalnej myśli.“

Alfred Robber objął z uciechy starego doktora za szyję i przycisnął go do piersi.

„Teraz na mnie kolej zapytać się, czyś przypadkiem nie oszalał,“ zawołał



Wyjazd przez bramę starego miasta w daleki świat... Co za bramą czeka i kryje się, niewiadomo — pełen tajemnicy jest za murami świat.

Morizano, „niedużo brakowało, a byłbyś mi połamał wszystkie żebra. Zrozumiałeś więc mój plan. — Hrabia Sokolski poszukuje córki we wszystkich krajach i wyznaczył wysoką nagrodę dla tego, który mu przyprowadzi Anielcię. Piękna Lola wkradła się w jego dom jako córka. Moja ręka kierowała całą sprawę, a Arabella pomagała swojej córce do korony hrabiowskiej. Lecz Lola nie umiała trzymać się w siodle, dlatego wygnano ją do wszystkich djabłów, a hrabia poszukuje znowu pięknej córki.

„Jestem przekonany," mówił Morizano, zapalając świeżą fajkę, tak, jestem mocno o tem przekonany, że hrabia Sokolski przygotowuje się obecnie do odnalezienia Anielci. Zawiadomimy go więc, żeśmy ją znaleźli i równocześnie zażądamy miljon marek za wydanie córki."

„Z pewnością wypłaci nam żądaną sumę," zawołał Robber, bijąc ręką o stół, tak, że Anielcia poruszyła się we śnie, „nie będzie się ani godziny namyślał. Znam dobrze hrabiego Sokolskiego jako czułego ojca, lecz nasz plan ma swą złą stronę. Drogi Morizano, przedtem musimy być przynajmniej w Nowym Jorku."

„Dobrze, pojedziemy do Nowego Jorku," odparł Morizano, „i to o ile możności jak najprędzej."

„Obawiam się," szepnął Robber, „czy nas gdzie nie zaaresztują, a przedewszystkiem, czy Anielcia zechce jechać z nami? Można śmiało przypuścić, że przy pierwszej sposobności zawoła o pomoc i wyda nas w ręce policji!"

„Pleciesz głupstwa," odparł Morizano, „sądzisz, że nie pójdzie z nami, gdy jej powiemy całą prawdę? Zresztą podróż do Nowego Jorku musimy zaryzykować. Naturalnie nie pojedziemy koleją Pacific. Całe szczęście, że mam trochę pieniędzy, za które kupimy sobie wózek i konia. Wprawdzie podróż będzie długo trwała, ale wreszcie dojedziemy do Nowego Jorku. Następnie napiszemy grzeczny list do hrabiego Sokolskiego, zawiadomimy go, że jego córka znajuje się w naszych rękach, — i zażądamy za wydanie miljon marek. W liście nie podamy adresu, lecz każemy posłać odpowiedź pod poste-restante. Całą historję trzeba dobrze obmyśleć."

„Cicho!" zawołał nagle Alfred Robber, „budzi się, otwiera oczy."

„Tem lepiej", odparł Morizano, „zje razem z nami śniadanie. Ugotowałeś już kawę?"

Anielcia obudziła się rzeczywiście, jej sen nie trwał długo, dręczyły ją straszne sny i blade upiory.

Jej wzrok padł na szelmowską twarz doktora Morizano i Alfreda Robbera; w jednej chwili przekonała się o strasznej rzeczywistości.

„Panna Anielcia płacze?" zapytał Morizano, „na Boga, przecież pani nie ma żadnego powodu. Nie uczynimy pani nic złego; ręczę za to mojem słowem honoru."

Anielcia milczała; słowa doktora wyglądały na gorzką ironję. Ten człowiek mówił o słowie honoru, obiecywał jej zupełną wolność, a przecież znała jego łotrowskie zamiary i wiedziała, że kto się dostanie w ręce doktora, ten jest bez ratunku zgubiony.



Ile czaru i piękna egzotyki w tem zdjęciu! Wydawałoby się, że to mieszkanki wysp hawajskich — a tymczasem jest to zdjęcie dwóch artystek filmowych z Filipin.

„Jak widzę, to mi pani nie ufa," mówił Morizano, „lecz sądzę, że kilka słów wystarczy na rozproszenie wszelkich podejrzeń. Ja i mój przyjaciel Alfred Robber pragniemy tylko szczęścia pani!"

„Szczęścia," zawołała Anielcia, „więc dajcie mi wolność i pozwólcie na powrót — — Oh, każdą minutę, którą tutaj tracę, kradniecie drugiemu. On czeka na pomoc i może w tej chwili wymawia moje imię. — Jeżeli macie dobre względem mnie zamiary, to otwórzcie drzwi i dajcie mi wolność."

„Do Europy?" zawołała Anielcia, „poco, w jakim celu? W Europie nie mam nikogo, — a tutaj w Ameryce znajduje się moje szczęście!"

„Dobrze," rzekł Morizano, „pójdziemy jednak razem. Pojedziemy do Nowego Jorku i wrócimy do Europy!"

„Mylisz się, droga Anielciu," odparł Alfred Robber, „słuchaj pani uważnie doktora, który ci objaśni całą sprawę. Po kilku minutach rozmowy przekonasz się, że na całym świecie nie znajdziesz lepszych przyjaciół jak doktora Morizano i Alfreda Robbera. Mojem zdaniem, zjedzmy najpierw śniadanie i odłóżmy na później resztę rozmowy."

„Drogi Robberze, słusznie mówisz," rzekł Morizano, „podaj więc kawę, — jak pani widzi, żyjemy wcale dobrze w tej puszczy. Założyłbym się, że i pannie Anielci nie zaszkodzi szklanka ciepłej kawy. — Do djabła, przecież pani przez całą noc nic nie jadła i leżała na mokrej trawie."

„Ogrzałam się trochę przy ogniu," odparła Anielcia. Wypuście mnie na wolność. Będę wam wdzięczną aż do śmierci."

„Zobaczymy po śniadaniu," rzekł Morizano, spoglądając znacząco na swojego wspólnika, „przedewszystkiem wypijemy kawę. Panna Anielcia wybaczy, że prosimy do takiego skromnego śniadania. Niestety mamy tylko kawę i sucharki. Czem innem nie możemy służyć."

Alfred Robber nakrył tymczasem stół. W spadku po starym Billu, znalazł trzy naczynia, które od biedy mogły zastąpić filiżanki, jedną blaszaną łyżkę i spodek, na którym podał sucharki.

Kawa wydawała wcale przyjemny zapach; mleka naturalnie nie było.

„Do djabła, jaka czarna lura!" zauważył doktor Morizano; „jeżeli muszę zrezygnować z mleka, to przecież może znajdzie się gdzie jaki kawałek cukru, — jestem przyzwyczajony do słodkiej kawy."

„Cukier!" zawołał Alfred Robber i podniósł się niechętnie, zdążając ku półce, na której stały zapasy Billa, „skąd ci wezmę cukru? — Lecz czekaj, może jako zaradzimy, gdzieś widziałem jakąś puszkę."

Alfred Robber szukał na półce i nagle wydał radosny okrzyk.

„Znalazłem!" zawołał, pokazując starą puszkę. „Odkryłem cukier w proszku."

„Rzeczywiście?" zapytał Morizano. „Daj go tutaj, teraz możemy rozpocząć śniadanie. — O mój chłopcze, nie wiesz tego, że damom należy się pierwszeństwo? — Proszę cię, nie zapominaj o galanterji. — Proszę, niech pani bierze, czem chata bogata, tem rada."

„Nie piję," odparła dziewczyna, odsuwając filiżankę, „pozwólcie mi odejść; niczego więcej nie pragnę!"

„Do miłości nie można nikogo zmusić,“ zaśmiał się Morizano, „i jeżeli pani nie chce pić kawy, to proszę nam darować, że zjemy najpierw śniadanie, zanim omówimy warunki, pod którymi ewentualnie może pani odzyskać wolność!“

Morizano, mówiąc te słowa, wyjął blaszaną łyżką dużą porcję cukru i wsypał ją do kawy. Alfred Robber poszedł za jego przykładem.

Następnie pili kawę i zajadali sucharki. Obydwaj mieli potężny apetyt.

„Teraz możemy mówić,“ zawołał Morizano, gdy Robber nalał mu drugą filiżankę, „zapalimy sobie fajkę i przystąpimy do rzeczy.“

Anielcia czuła, jak jej serce biło niespokojnie, teraz bowiem rozstrzygną się jej losy. — Mimo uspakajających słów Morizano i Robbera, była mocno przekonana, że nędznicy nie wypuszczą jej tak prędko. Zresztą Morizano oświadczył przedtem, że postawi pewne warunki! —

„Panno Anielciu, proszę o chwilę uwagi,“ rzekł doktor po małej pauzie, „oświadczamy jeszcze raz, że pani nie grozi żadne niebezpieczeństwo, chyba, żeby pani chciała pomieszać nam szyki. Jak pani widzi, mówimy zupełnie otwarcie. Ja i mój przyjaciel Alfred Robber mamy zamiar zarobić z pomocą pani miljon marek.“

„Miljon marek?“ wyszeptała Anielcia. „Jeżeli pańskie słowa nie są ironją, to w takim razie kryje się w nich coś strasznego.“

„Nigdy w świecie,“ odparł lekarz, „nie sprzedamy pani jakiemuś kochankowi za miljon marek; pomimo piękności, wątpię bardzo, czybyśmy zdołali osiągnąć taką kwotę. — Istnieje jednak jeden człowiek, który będzie szczęśliwy, jeżeli nadarzy mu się sposobność do zapłacenia tej sumy. Obecnie szuka on panią po całym świecie, — słowem ten mężczyzna jest —

Morizano urwał nagle, podniósł się z ławki, lecz jego kroki były chwiejne i niepewne.

„Alfredzie,“ zawołał doktor, „Alfredzie, — nie czujesz tego strasznego gorąca?“

Zapytany nie dał odpowiedzi; doktor rzucił na Alfreda przelotne spojrzenie i zadrżał nagle, widząc wykrzywioną z boleści twarz Alfreda Robbera. Duże krople potu spadały mu z czoła na policzki.

„Alfredzie, mój chłopcze,“ zawołał doktor, przybierając swobodny, serdeczny ton, „Alfredzie, co ci brakuje?“

„Umieram!“ odparł rudowłosy bandyta. — „Ah, te boleści, — doktorze, — doktorze, — pomóż mi, — nie mogę sobie objaśnić mojego stanu, — wszędzie pali, — piecze, — w wnętrznościach czuję piekielny ogień. — Doktorze, ja, — oj, i ty, — ty jesteś także blady, — Jezus, Marja, co się nam stało?“

Doktor Morizano zbliżył się powoli do swojego towarzysza, wyciągnął rękę, jakby go chciał podnieść, lub podtrzymać, lecz nagle padł na ziemię, jak rażony piorunem i potoczył się po podłodze, wyjąc z bólu.

Anielcia zerwała się. Patrzała z trwogą i przerażeniem na tych mężczyzn, z którymi nagle zaszła straszna zmiana.

Nie mogła sobie wytłumaczyć tego przejścia, a jednak, — w jej głowie powstała myśl, — myśl, która mówiła jej tajemnym głosem:

„Bóg jest sprawiedliwy, — i karze każdego zbrodniarza, kiedy się najmniej spodziewa mszczącej ręki.“

Alfred Robber spadł w tej chwili ze stołka, krzycząc w niebogłosy; czołgał się na rękach i nogach do doktora, pochwycił go i ku zdumieniu Anielci, wbił swoje palce w szyję doktora, jakby go chciał zadusić.

„Co robisz?“ jęknął Morizano, starając się napróżno odtrącić od siebie rudowłosego bandytę, „puszczaj, szalony, — chcesz mnie zamordować?“

„Tak,“ krzyknął Robber, „zabiję cię, — zabiję, — łotrze, — dla siebie tylko chciałeś zdobyć miljony, — teraz jest mi wszystko jasne, — otrułeś mnie, nikczemniku!“

„Trucizna!“ zawołał doktor Morizano. „Tak, masz słuszność, Alfredzie Robberze, obaj mamy truciznę we wnętrznościach, lecz nie ja podałem ci tę dawkę śmiertelną! Czy nie widzisz, szalony, że cierpię tak samo, jak ty? Nie widzisz mojej choroby? Jesteśmy skazani na śmierć! Puść mnie, przeszkadzasz mi niepotrzebnie w ratunku!“

Te słowa przekonały widocznie Alfreda Robbera, gdyż puścił lekarza i upadł u jego stóp.

Morizano podniósł się z trudem. Jego stara twarz była strasznie wykrzywiona, oczy wychodziły wprost z głowy, a perlisty pot spływał obficie z czoła.

„Wody!“ jęknął, „gdybyśmy mieli przynajmniej trochę wody!“

„Ah, widocznie cukier był zatruty, któryśmy dali do kawy! — Bądź przeklęty stary Billn, który go zatrułeś, celem obrony przed leśnymi zwierzętami.“

„Nie ujdziemy z życiem z tej chaty; Alfredzie Robberze, przygotuj się na śmierć!“

Rudowłosy bandyta wydał przeraźliwy okrzyk.

„Nie chcę umierać!“ zawołał, próbując się podnieść; brakło mu jednak sił do tego.

„Nie chcę umierać! O te boleści! Rozerwą mi jeszcze wnętrzności! — Doktorze! Jesteście przecież lekarzem! Pomóżcie mi! Ratujcie nas! Litości, zmiłowania! O, co za straszny koniec!“

„O, gdybyśmy mogli się wydostać na pole!“ zawołał Morizano słabym głosem. „Wody! W pobliżu chaty znajduje się źródło! Może otrzeźwi nas woda! Alfredzie Robberze, jesteśmy bezsilni! Czeka nas pewna śmierć!“

„Tylko to?“ zawołał równocześnie jakiś głos. „Żądacie wody? Przyniosę wam, ile tylko zechcecie!“

Anielcia wymówiła powyższe słowa i zbliżyła się dumnie do Morizano i Alfreda Robbera.

Lekarz spojrzał niedowierzająco na młodą, piękną dziewczynę.

„Ty, — ty chcesz nas ratować?“ zawołał, „chcesz nam podać orzeźwiający napój? W takim razie nie jesteś człowiekiem, ani żadną śmiertelną istotą, a w każdym razie nie kobietą! Jesteś aniołem, odpłacającym za złe dobrym uczynkiem i w ten sposób okazujesz nam swoją zemstę!“

„W tej chwili nie jesteście doktorze Morizano moim wrogiem!“ zawołała Anielcia, „widzę przed sobą umierającego, którego trzeba napoić. Już raz podałam wam moją rękę, wówczas, kiedy was unosiły fale oceanu, kiedy straszny rekin, hiena morza, otwarł pasz czę, by was połknąć!

„Jednak źle odpłaciliście mi moją pomoc! Uknuliście nowe plany przeciwko mnie i mojemu kochankowi!

„Jesteście jednak w potrzebie, śmierć stoi nad wami! Zapominam o przeszłości i pomogę wam!

Nie czekając na odpowiedź, zdjęła ze ściany naczynie i wybiegła na pole.

Wkrótce znalazła źródło, o którem mówił doktor Morizano. Anielcia napełniła naczynie czystą wodą źródlaną i pobiegła ku chacie.

Lecz tylko Morizano zdołał się jeszcze napić o własnych siłach. Alfred Robber leżał na ziemi bez ruchu; jego oczy zawarły się. Ciężki oddech wydobywający się z piersi zdradzał, że jeszcze walczy ze śmiercią.

Anielcia przyłożyła naczynie do ust doktora, a Morizano pił chciwie orzeźwiający płyn; po chwili upadł znowu i przymknął oczy, jakby nagle opanował go głęboki sen.

Woda pokrzepiła go widocznie. Może to źródło zawierało jaką mineralną domieszkę, która działała jako antido tum przeciwko szkodliwej truciźnie.

Teraz zbliżyła się Anielcia do rudowłosego bandyty i wlała mu kilka kropli wody do spalonych ust. Im więcej zwilżała jego wargi, tem spokojniejszy wyraz przybierały rysy Alfreda Robbera; zdrętwienie znikało powoli, a dobroczynny sen uspokoił jego nadwątlone siły. Anielcia podniosła się.

Rzuciła jeszcze jedno spojrzenie na nędzników, którzy teraz byli zupełnie nieszkodliwi, — poczem opuściła szyb ko chatę.

Była wolną, mogła znowu wrócić do drewnianego domu, a przejęta słodkiem uczuciem z powodu spotkania z Kazimierzem, weszła śmiało do lasu. Starała się nie zmylić drogi i oglądała się za owym bukiem, od którego skręciła w gąszcze.

Słońce stało wysoko na niebie, gdy Anielcia wreszcie zobaczyła drewniany dom i lśniące szyny. Odnalazła więc drogę i była w pobliżu stacji kolei Pacific.

Za kilka minut zobaczy znowu Kazimierza, — za kilka sekund rzuci mu się na szyję!

Może odzyskał już przytomność! Ha, z jaką rozkoszą podbiegnie ku niemu, podając mu swoje koralowe usta do serdecznego pocałunku!

Uniknęła tej nocy cudem zagłady! To było dobrym znakiem, — gdyż Bóg nie poto wyratował ją z rąk Morizano i Alfreda Robbera, by jej dalsze życie miało być nieszczęśliwe!

Otworzyła drzwi, prowadzące do stacji, lecz w następnej chwili przeraziła się strasznie na widok mężczyzny, siedzącego przy aparacie, którego nie zau-

ważyła przedtem w drewnianym domu.

Dlaczego się przelękła? To przecież było jasne: Pomoc ze Santa Fee musiała już nadejść! Ten obcy przyjechał zapewne nadzwyczajnym pociągiem.

Mężczyzna, siedzący przy aparacie, podniósł głowę. Zwrócił swój pytający wzrok na młodą, piękną dziewczynę, która stała przed nim o kilka kroków.

„Co pani sobie życzy? zapytał w podejrzliwym tonie: „Skąd się pani wzięła? Może jest pani jedną z ofiar pospiesznego pociągu?“

„Nie,“ odparła Anielcia, „byłam jednak tutaj jeszcze przed katastrofą. Razem z Lolą wyratowałem z gruzów pociągu jednego pana, który był moim narzeczonym!“

„Co? Pani jesteś narzeczoną tego mężczyzny, który leżał w tym domu?“

„Tak, — jestem narzeczoną hrabiego Kazimierza Zamskiego!“

„Ah!“ zawołał Niklas Dombey, — gdyż on to był we własnej osobie, „w takim razie objaśni mnie pani, co się właściwie stało z hrabią.

„Dlaczego, przyjechawszy ze Santa Fee, nie zastaliśmy go w tym domu?“

Anielcia pokryła się trupią bladością.

„Nie — znaleziono — go!“ zawołała. To nie możliwe! Sam nie mógł wyjść! Był za słaby, a do tego leżał w gorączce! Musi być tutaj!“

„Słusznie!“ rzekł Niklas Dombey, wzruszając ramionami. „Podejrzewam, że go uprowadzono przemocą. Nieszczęśliwa! Dowiedz się całej prawdy, którą ci wyjawię powoli:

„Jeżeli pani jesteś jego narzeczoną, — to zostałaś wdową, nie będąc nigdy żoną!“

Anielcia chwyciła się za poręcz stołka, stojącego obok niej, czuła bowiem, jak kolana zachwiały się pod nią.

„Kazimierzu!“ jęknęła z rozpaczą. „Co się z tobą stało? Święty Boże! Kazimierzu, — gdzie jesteś?“

Niklas Dombey otwarł okno i wskazał ręką w stronę kamiennego krzyża, mówiąc:

„Niedaleko od stacji znajduje się straszna przepaść, której głębia zarosła gęstymi krzakami. Tam na dnie znajdziesz zwłoki swojego kochanka, jeżeli ci się udało zejść do doliny, którą bogowie osłonili wieczną nocą!

„Lola, młoda kobieta, którą przyjąłem do siebie, napisała mi na kartce, że hrabia Kazimierz Zamski usnął na wieki. Dlatego rzuci się ze skały razem z ukochanemi zwłokami!“

Anielcia spoglądała z przerażeniem na złowrogą kartkę.

Widziała przed sobą kilka zdań, — zwiastunów śmierci ukochanego; jej twarz powlokła się trupią bladością, a z oczu wytrysnął potok gorzkich łez.

Nagle wybuchnęła szalonym śmiechem a z jej ust spłynęły namiętne słowa:

„To nieprawda! To kłamstwo! On nie umarł! Lola nie rzuciła się w przepaść! Ukradła mi go po raz drugi, jak wtedy, kiedym ją widziała przed wejściem do katedry Notre-Dame!“

„Pani! — Na Boga!“ krzyknął Niklas Dombey, „Straciła zmysły!“

„Będę go szukać, muszę znaleźć!“ zawołała Anielcia, „nie na dnie przepaści, lecz tam, gdzie go ukryła Lola! Złodziejka! Złodziejka! Nie zostanie twoim!“

Niklas Dombey zauważył, jak się zachwiała jej cudna postać. — Przyskoczył, by ją podtrzymać, — niestety zapóźno. Anielcia upadła na ziemię bez zmysłów!

CXLV.

Ociemniały

W „Kaiserhof“, w jednym z pierwszorzędnych hoteli Berlina, oddał posłaniec depeszę w biurze dyrektora, który ją otworzył z obojętnością człowieka, przyzwyczajonego do otrzymywania wielu telegramów.

Przeczytawszy krótką treść depeszy, nacisnął guzik elektrycznego dzwonka. Natychmiast pojawił się zarządca, młody mężczyzna, ubrany podług ostatniej mody.

„Właśnie nadeszła depesza z Hamburga“, odezwał się dyrektor z kupieckim spokojem, „podpisana przez hrabiego Kazimierza Zamskiego. Hrabia, który prawdopodobnie wraca z Ameryki, — telegram nosi datę z pokładu jednego dużego okrętu pasażerskiego, — prosi mię o zarezerwowanie trzech dużych salonów na pierwszem piętrze. Niech więc się pan postara o zadowolnienie hrabiego. — Może damy mu pokoje pod numerem 38, 39 i 40, narożny pokój z salonem i przytykające komnaty? Dzisiaj w południe przyjedzie do Berlina!“

„Dobrze, panie dyrektorze“, odparł zarządca i wyszedł celem spełnienia rozkazów swojego przełożonego.

Kilka minut po pierwszej zajechał przed hotel elegancki powóz; na koźle leżały dwa duże wspaniałe kufry, obite skórą.

Portjer otworzył drzwiczki, a z powozu wysiadła najpierw młoda, urocza dama, ubrana w czarną suknię. Czarny kolor sukni uwidaczniał wdzięk jej ciała i arystokratyczne rysy twarzy. Na głowie miała lekki kapelusz, z którego zwieszał się ciemny woal, nie za duży, by można z niego wnioskować, że to młoda wdowa, lecz dostateczny do zakrycia całego oblicza obcej damy.

Lecz w tej chwili podniosła zasłonę, a dyrektor, który wyszedł z zarządcą i całą gromadą kelnerów, nie mógł się napatrzyć uroczej piękności młodej damy.

„Jestem hrabina Zamska“, rzekła piękna, młoda kobieta, uchylając lekko głowę, „otrzymałeś pan depeszę, którą nadałam w imieniu mojego męża?“

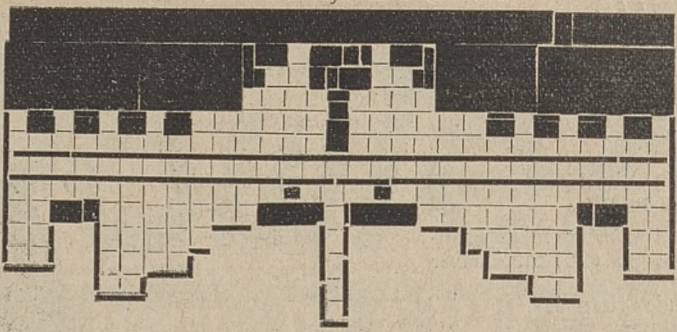
„Tak jest, pani hrabino; zarezerwowałem dla państwa trzy pokoje na pierwszem piętrze“, odparł dyrektor hotelu. „Czy pan hrabia nie przyjechał?“

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Logogryf

uł. A. Dorożyńska z Chrośna



W rzędach pionowych poumieszczać słowa o podanem wyżej znaczeniu. Oznaczony rząd poziomy da rozwiązanie

Wyrazy pomocnicze: 1. Ptak 2. Inaczej czyszczenie bielizny 3. Urwis 4. Po łacinie „ten“ 5. Po raz drugi 6. Imię żeńskie 7. Bogata panna na wydaniu 8. Płaczliwy 9. Ptak 10. Zdrobniałe imię męskie 11. Imię żeńskie 12. Przyprawa do zupy 13. Drogi biały metal 14. Gniew 15. Bardzo piękny, ładny 16. Zdrobniałe imię żeńskie 17. Właściciel Zakładów Wydawniczych w Żninie 18. Owoc południowy 19. Inaczej lek 20. Zdrobniałe imie żeńskie 21. Inaczej całus 22. In. wcześnie 23. Ptaki domowe 24. Dom wiejski 25. Inaczej być silnym, wielkim 26. Po łacinie „za“ 27. Służy zamiast mostu 28. Człowiek robiący komuś na złość 29. Cichy, spokojny.

Łamigłówka

uł. Ir. Wiechujówna

— — — — d — kraj
— — — — p — sprzęt

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 12 czerwca br

Rozwiązanie zadań z nr. 21 „Moich Powieści“: Konikówka: „Im wyżej słońce wzejdzie na twym niebie, tem jaśniej będzie w tobie i dokoła ciebie.“ Bilety wizytowe: Rosjanin, Holenderczyk, Portugalczyk.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: K. Mikstacki — Lipiny, Emilja Łasiówna — Czułów, Barbara Kamińska — Mirotki, „Eros“, Edm. Drzycimski — Bukowiec Pom., Anna Dorożyńska — Chrośna, Machnik Alojzy — Bydgoszcz, Józef Mańkowski — Smolarz, Franciszek Bodek — Byszwałd, „Szczesny“, Roman K. Stęczniewski — Gorzyce Wielkie, Jadwiga Glapa — Bydgoszcz, Teofil Świta — Brodnica, Edward Gawroński — Miłosław, Marja Kierzkowska — Osie.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Barbarze Kamińskiej z Mirotek i Józefowi Mańkowskiemu z Smolarza. (Na wyróżnienie zasługuje pomysłowo wykonane rozwiązanie p. Alojzego Machnika z Bydgoszczy.)

Przypominamy naszym Szan. Czytelnikom, że termin nadsyłania prac konkursowych upływa z dniem 15. VI. br. Kto więc jeszcze nie nadesłał opisu NAJWESELSZEJ PRZYGODY Z SWEGO ŻYCIA, niech nie omieszka tego jak najprędzej uczynić. Pamiętajcie, że jeszcze tylko kilka dni czasu dzieli nas od rozstrzygnięcia konkursu i przyznania wartościowych nagród!!!

HUMOR

Nie zrozumiał

Profesor: — Jak się nazywa kanał, który oddziela Francję od Anglji?
Student: (milczy).
Profesor: (usiłuje naprowadzić studenta na właściwą drogę, wskazuje ręką na rękaw marynarki).
Student (triumfująco): Raglan!

Na lekcji rachunków

— Franiu, policz, ile będziesz miał królików, jeśli ja ci dam dwa, to twój tatuś także dwa?
— Sześć! — odpowiada Franuś.
— Źle! Pomyśl tylko!
— Napewno sześć!
— Siadaj, nic nie umiesz!
— Ale przecież ja już mam dwa króliki, jak dostanę cztery, będę miał sześć!

Z doświadczenia

— Winszuję ci! Podobno zamierzasz się ożenić?
— Tak jest.
— Z których stron pochodzi twoja przyszła żona?
— Z Warszawy.
— Bój się Boga, człowieku! Tylko takiej nie bierz!
— Dlaczego???
— Moja żona pochodzi także stamtąd.

Logiczne

— Tak, tak, mój drogi, na artystę trzeba się urodzić.
— Święta prawda, bo kto się nie urodzi, ten nie może być artystą!

Opinja

Tristanowi Bernard zadano w operze pytanie, jak mu się podoba głos primadonny. Odpowiedź brzmiała:
— O, ma ona najpiękniejszą astmę, jaką kiedykolwiek słyszałem.

Dobry środek

A.: — Jakiego środka używałeś pan do zapakowania futra przeciw molom?
B.: — Żadnego, bo całe lato chodziłem w futrze.

Przy spotkaniu

— Czy córka pani jest muzykalna?
— Także pytanie... Przecież wyszła za organistę...

Logika

Szef: — Czemu spóźnił się pan do biura o trzy kwadranse, panie Müller?
Müller: — Spadłem ze schodów.
Szef: — Nonsens! To nie może przecież trwać tak długo!

A jednak...

— I ty ośmielasz się jeszcze ze mną sprzeczać, — ze mną, której zawdzięczasz wszystko, czem jesteś!... Cóżeś ty miał, zanim myśmy się pobrali?
— No, w każdym razie, moja droga — własny klucz od mieszkania...

Na dworcu

Moryc Knobloch przybiega zdyszany na dworzec.
— Przepraszam, panie pakunkowy, czy złapię jeszcze pociąg do Warszawy?
— Niech pan spróbuje, odszedł dopiero przed kilku minutami.

Pamiątka

— Czy ten medaljon, który pani nosi, zawiera w sobie jakąś pamiątkę?
— Tak, lok włosów mego męża.
— Czy pani mąż nie żyje?
— Żyje, ale jest łysy.

Oko za oko

Lekarz przesłał pacjentowi rachunek, pacjent lekarzowi czek. Po trzech dniach lekarz telefonuje:
— Czek wrócił.
Pacjent odpowiada:
— Choroba też.

Mistrz rzeźnicki u lekarza

— A więc, w którem miejscu odczuwa pan bóle?
— Tu, panie doktorze, koło polędwicy.

Między strażakami

— Patrz, co za wspaniała kobieta!
— Co za gorącość w głosie!
— Co za płomień w wyrazie twarzy!
— A jakie iskry w spojrzeniu!

Praktyk

Przy spisywaniu ewidencji wachmistrz zapytuje się obandażowanego rekruta:
— Żonaty?
— Nie, tylko uderzyłem się w głowę o futrynę.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie